

Opuszczenie RAJU

Moim rodzicom, którzy uczynili dla mnie wszystko, co było możliwe, oraz mojej żonie, która zawsze była przy mnie w ciężkich chwilach.

Henry G. Wilman

Henry Wilman

Opuszczenie RAJU



© Copyright 2011 Henry Wilman

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych, bez uprzedniego wyrażenia zgody przez właściciela praw.

Skład: Norbert Młyńczak
Druk: Drukarnia i Wydawnictwo PIKTOR s.c.

ISBN 978-83-62279-00-5
Wydanie 1, Łódź 2011

Wydawca: Akademia Mądrego Życia,
ul. Traugutta 18, 90-113 Łódź

SPIS TREŚCI

| | |
|-------------------------------|------------|
| Wstęp | 7 |
| Rodzice | 9 |
| Dzieciństwo | 19 |
| Wiek młodzięczy | 33 |
| Politechnika | 43 |
| Wojsko | 59 |
| Samotność | 69 |
| Przepychanka | 77 |
| Praca | 93 |
| Siostra | 109 |
| Rejmontów | 117 |
| Światło w tunelu | 121 |
| Good bye | 129 |
| Epilog | 137 |

WSTĘP

To wyjątkowa książka – historia człowieka, który poszukiwał siebie, pokonywał przeszkody i na swój unikalny sposób torował sobie drogę przez życie. Czyta się ją jak powieść detektywistyczną, a jednocześnie jest w niej sporo informacji z historii Łodzi i zakulisowych układów, jakie panowały w latach siedemdziesiątych w służbie bezpieczeństwa.

Henry od dawna mieszka w Kanadzie. Na pozwolenie wyjechania z kraju czekał sześć lat, aż w końcu został gwałtownie wyrzucony z Polski bez prawa powrotu. Uzyskawszy niedawno dostęp do swoich teczek w Instytucie Pamięci Narodowej, mógł skojarzyć wydarzenia, których wtedy nie rozumiał, z tym, co działo się za kulisami. Na ileż sposobów można prześladować człowieka ...

Nasze losy – osób „trudnych” dla władz komunistycznych – splotły się w Łodzi. Zarówno żona Henryka, jak i ja zostaliśmy z przyczyn politycznych wyrzuceni z pracy w tej samej katedrze na Politechnice Łódzkiej. Henry i Barbara w dużym stopniu pomogli nam przenieść się do Kanady, gdzie wylądowaliśmy w 1982 roku.

Pomysł napisania tej książki zrodził się któregoś wieczoru, kiedy wspominaliśmy stare dzieje u nas na Hawajach. Wyniknęła z tego bardzo interesująca próba refleksji nad sensem życia, nad własną tożsamością, nad tym, dokąd w tym życiu zmierzamy.

Życzę miłej lektury.

Tadeusz Niwiński
lipiec 2011

RODZICE

Łódź to miasto, które było dla jednych ziemią obiecaną, dla setek tysięcy ludzi – miejscem ciężkiej harówki, wypadków przy pracy, chorób i poniżenia. To małe miasteczko, które na początku XIX wieku liczyło niecały tysiąc mieszkańców, po 100 latach miało już ich ponad 300 tysięcy. Zabór rosyjski nie stanowił przeszkody w rozwijaniu biznesu i budowie miasta, a pierwsza wojna światowa zmieniła tylko trochę jego właścicieli. Na początku lat trzydziestych XX wieku, mimo ogólnoświatowej recesji, Łódź liczyła już ponad 600 tysięcy obywateli: z tego połowa to Polacy, $\frac{1}{3}$ Żydzi i reszta Niemcy. Mała grupa prawosławnych wyznawców, może 1000 osób, nie została wówczas nawet ujęta w statystyce. Wielkie fabryki włókiennicze zanieczyszczały niebo, ale dawały pracę. Czarny pył z kominów fabrycznych osiadał nie tylko na koszulach, ale i w płucach ludzkich. Pałace fabrykantów sąsiadowały bezpośrednio z fabrykami i były zlokalizowane niedaleko osiedli robotników. Kto miał pracę nie martwił się o bezrobotnego sąsiada, kalekę, który stracił rękę w wypadku przy pracy, lub o wdowę z małymi dziećmi. Nie istniały zasiłki dla bezrobotnych i zaledwie kilka organizacji charytatywnych opiekowało się tymi biednymi, którzy tylko z daleka mogli oglądać pałace Poznańskich, Konów, Scheiblewów i piękne kamienice bankierów na ulicy Piotrkowskiej.

Jest rok 1937. Młoda łodzianka, Teodozja, zapada na gruźlicę. Ta choroba niedożywienia, kiepskich warunków mieszkaniowych

oraz zanieczyszczonego powietrza, była bardzo popularna w środowisku klasy robotniczej Łodzi. Teodozja Zwolińska, której ojciec zmarł, gdy miała 10 lat, była od tego czasu wychowywana przez matkę i 4 lata starszego od niej brata, który już w wieku 14 lat musiał pójść do pracy. Mimo minimalnych dochodów rodziny, Teodozja skończyła dzienne gimnazjum, co było w tym czasie dużym osiągnięciem dla dziewczynki z rodziny robotniczej, i zaczęła pracować w biurze, aby zaoszczędzić trochę pieniędzy na przyszłe studia. Niestety, choroba przeszkodziła jej w tych planach.

Około godziny jazdy tramwajem podmiejskim trwa podróż do miejscowości Tuszynek na obrzeżu Łodzi, gdzie oprócz lasów i domków letniskowych znajdowało się w tym czasie sanatorium przeciwgruźlicze. Pacjentów leczono świeżym powietrzem, dietą i zabiegami odmy polegającymi na wstrzykiwaniu do opłucnej powietrza. To wszystko nie mogło całkowicie wyleczyć pacjenta, ale zwalniało proces choroby, której przebieg był znacznie łagodniejszy. I w tym właśnie sanatorium wyładowała na leczeniu 22 letnia Teodozja.

Młody lekarz, Halpern-Wieliczański, już po uzyskaniu doktoratu i odbyciu w 1936 roku praktyki w światowej sławy klinice wiedeńskiej, nie mogąc dostać stałej pracy w Łodzi, trafił czasowo do sanatorium w Tuszyńku. Tam właśnie jedną z jego pierwszych pacjentek była Teodozja, którą postanowił leczyć nowymi metodami, poznanymi zaledwie kilka miesięcy wcześniej w Wiedniu. Jako pierwszy lekarz w Łodzi przeprowadził on wówczas między innymi zabieg przepalania zrostów opłucnowych. I dlatego nie odma i dieta, ale nowe metody wyleczyły młodą, atrakcyjną Teodozję, która po paru miesiącach podjęła znowu pracę w Łodzi.

Doktor Wieliczański urodził się w Łodzi w zasymilowanej rodzinie żydowskiej i podobnie jak Teodozja stracił swojego ojca gdy miał 10 lat. Wychowała go matka, ale wykształcenie zawdzięczał 14 lat od niego starszej siostrze dentystce, która pokrywała koszty studiów i pobytu początkowo w Wilnie, a później w Warszawie.

W owym czasie ludzie żyli i spotykali się w swoich środowiskach, dlatego też było nietypowe, że pochodząca z katolickiej rodziny Teodozja zaczęła się spotykać z Herszem Halpernem.

Po tym, co stało się w Austrii i Czechach, Polska przygotowywała się do inwazji niemieckiej w 1939 roku. Większość oficerów rezerwy miała w domu umundurowanie i przypisane, na wypadek mobilizacji, miejsca swoich jednostek wojskowych. Doktor Halpern, będąc rezerwowym lekarzem wojskowym w stopniu oficera, miał mundur w swoim mieszkaniu przy ulicy Pomorskiej 4. Nie czekając na mobilizację, zjawił się w swoim 28 pułku artylerii lekkiej już przed rozpoczęciem wojny.

Jak większość polskiej armii, po krótkich walkach, w czasie których doktor Halpern został ranny w prawe ramię, 28 pułk zaczął wycofywać się na wschód Polski, nie wiedząc, że Sowietci przekroczyli już wschodnią granicę kraju. Henryk został internowany przez Rosjan i w końcu września znalazł się wraz z grupą innych byłych polskich żołnierzy, głównie oficerów, w pociągu jadącym jeszcze dalej na wschód i eskortowanym przez wojsko sowieckie. Na jednej z małych stacyjek zrywa on swoje oficerskie pagony i wyskakuje ze stojącego pociągu wprost na eskortującego konwój rosyjskiego żołnierza.

– *A ty kuda?* – wrzasnął Rosjanin.

– No, do wychodka – mówi już nie oficer, ale zwykły polski żołnierz, trzymając się znacząco za brzuch.

Ruski skinął głową, pogroził palcem i krzyknął: – *No, charaszo, tolko spieszaj!*

Długo nie czekając i znając historię zesłań na Syberię, doktor Halpern wyskakuje przez okno ubikacji i po przeczekaniu do zmroku w pobliskich zaroślach, kieruje się w kierunku najbliższych zabudowań. W jednym z nich słyszy język polski, puka do drzwi i znajduje tam kilku polskich żołnierzy, którzy podobnie jak on uciekli z transportu. Okazało się wiele lat później, że polskich oficerów

z tego transportu nie zesłano na Syberię, ale na podstawie podpisanego przez Stalina tajnego rozkazu zamordowano ich niedaleko od tej niewielkiej stacyjki, w lasach katyńskich.

Mając duży instynkt samozachowawczy, doktor Halpern kupuje w osiedlu stary uczniowski mundur i wraca do swojej Łodzi. To jego rodzinne miasto jest już okupowane przez wojska niemieckie, ale przedwojenna administracja polska jeszcze tam działa. Już przed wojną oboje z Teodozją planowali ślub i wspólną przyszłość, ale teraz, w sytuacji hitlerowskiej nagonki antyżydowskiej i zbliżającej się całkowitej okupacji, sytuacja zmienia się z dnia na dzień.

Kiedy Henryk spotkał się po powrocie z Teodozją to ona, bardziej energiczna i opanowana, tak zakończyła ich długą rozmowę, pełną wspomnień i płaczu:

– Jeżeli zamierzaliśmy być razem w łatwiejszych czasach, to tym bardziej powinniśmy się trzymać w tych ciężkich chwilach.

– Ależ Lusi! – tak nazywał ją już wtedy – ja bardzo cię kocham i nie chcę narażać na dodatkowe przykrości z powodu mojego pochodzenia. Nasz ślub może być dla ciebie wyrokiem śmierci – niemal płacząc powiedział Henryk.

– Tym bardziej nie zostawię ciebie teraz i coś wymyślę.

W Polsce międzywojennej były tylko śluby religijne i o ile zawierała je para wyznająca różne religie, co było rzadkością, to zazwyczaj żona przyjmowała religię męża. W Łodzi, która była miastem co najmniej stu synagog i bożnic, świątynie żydowskie jeszcze nie płonęły, ale były pod ścisłą obserwacją łódzkich Niemców. Ślub żydowski wymagałby dla urodzonej katoliczki długich przygotowań religijnych, a w tej chwili byłby dla Henryka i Teodozji samobójstwem.

Dlatego też po odpowiednich przygotowaniach, przy zamkniętych drzwiach, w łódzkiej katedrze katolickiej przy ulicy Piotrkowskiej, w obecności tylko dwóch świadków, Henryk Wieliczański i Teodozja Zwolińska zawarli ślub. Akt ślubu sporządzony zaraz

po ceremonii, 23 listopada 1939 roku, zawierał spolszczone imiona rodziców Henryka i dla dodatkowej identyfikacji miał zdjęcia obu małżonków. No i oczywiście imię Hersz i nazwisko Halpern nie zostały tam umieszczone.

I tak zaczęła się historia moich rodziców. Mój ojciec, doktor Henryk Wieliczański nie miał rysów semickich i mówił płynnie po polsku. Ponieważ w okresie młodości skończył łódzkie gimnazjum Brauna, gdzie językiem wykładowym był niemiecki, władał także bezbłędnie językiem okupanta. No i miał zawód, który wiele razy uratował mu później życie.

W tym samym czasie gdy rodzice zawierali ślub, Łódź została już włączona do Rzeszy i zmieniła nazwę na Litzmannstadt. Był to ostatni moment, żeby stamtąd uciekać. W końcu listopada, za grubą opłatą, znaleźli się rodzice, wraz z grupą uciekinierów, głównie Żydów, w okrytej plandeką ciężarówce jadącej na wschód. Przewiezieni zostali wszyscy, pod osłoną nocy, do lasu nad Bugiem, gdzie już na granicy stała straż niemiecka. Tych, którzy wyglądali na Żydów, zaraz po przyjeździe, miejscowi chłopcy ograbili z pieniędzy. Henryk i Teodozja, jako nie-Żydzi, zostali za opłatą przewiezieni na okupowaną przez Sowietów drugą stronę rzeki. W swoich pamiętnikach ojciec Henryk wspomina, że chyba tylko oni dwoje uratowali się z tej dużej grupy uciekinierów.

Po dłuższych perypetiach dotarli do Białegostoku. Gdy Sowieci zaczęli dawać tam Polakom swoje paszporty, zdezorientowani Henryk i Teodozja, bojąc się przyjąć „zaszczytne” obywatelstwo Związku Radzieckiego, przedostali się do Brześcia, gdzie sowiecko-niemiecka komisja ustalała, kto może przejść do Generalnej Guberni, czyli okupowanej przez Niemców Polski. Tam właśnie Sowieci przepuścili Henryka, ale Teodozję zatrzymali. Gdy Henryk powiedział, że to jego żona, z którą nie chce się rozdzielać, rosyjski urzędnik wojskowy zbył go ze spokojem:

– *Nie perenimajs, najdjosz wtaroju.*

Dopiero interwencja u niemieckiego oficera, do którego Henryk zwrócił się o pomoc w płynnym niemieckim, spowodowała, że Sowietci wypuścili Teodozję.

Z Brześcia dostali się pociągiem do Warszawy, gdyż do Łodzi, będącej częścią Rzeszy, nie wolno już im było jechać. W Warszawie Henryk i Teodozja zostali zaprzysiężeni do pracy w podziemiu, a Henryk rozpoczął pracę jako lekarz. Mieszkali tam przy ulicy Złotej 25 i Sosnowej 3. Zbiegiem okoliczności, jak wspominał mi ojciec po wojnie, na miejscu ich byłego mieszkania został zbudowany wiele lat później Pałac Kultury, najbardziej znana budowla czasów stalinowskich.

W końcu 1940 roku doktor Henryk zorganizował podziemne laboratorium toksykologiczne Związku Syndykalistów Polskich i w mieszkaniu przy ulicy Sosnowej prowadził praktykę lekarską. Mieszkanie rodziców było też miejscem zebrań, zbiorów szkoleniowych oraz rozdziału prasy podziemnej i trucizn, stanowiło też okresowo przechowalnię materiałów wybuchowych.

Nigdy nie dowiedzieliśmy się, kto zadenuncjował Henryka do gestapo, które zaaresztowało go 8 stycznia 1943 roku i uwięziło potem na Pawiaku. Wiadomo, że była to kobieta zamieszkała w tej samej kamienicy przy ulicy Sosnowej i jedynie występowała pod pseudonimem Hechłacz. Przez wiele lat były podejrzenia, że była to matka Teodozji, Maria, która nigdy nie zaakceptowała Henryka jako zięcia. Podejrzenie to mógł popierać fakt, że Teodozja nie została wtedy aresztowana, mimo że też była aktywnym członkiem podziemia.

Z więzienia na Pawiaku został Henryk przetransportowany do obozu koncentracyjnego na Majdanku, gdzie przebywał 16 miesięcy. Często wspominał, że nie wie, jak i dlaczego przeżył to piekło. Jako jeden powód przetrwania podaje w pamiętnikach, że „jako lekarz z przystawionym do pleców pistoletem leczyłem hitlerowskie rzeżączki (gonoreje)”. Dodatkowe niebezpieczeństwo stanowił fakt, że Henryk będąc Żydem przebywał w polskim

rewirze obozu. Gdyby ten fakt wyszedł na jaw – nic by go nie mogło uratować. Można sobie wyobrazić, co Henryk przeżywał w obozie, gdy 3 listopada 1943 roku, dokładnie w drugą rocznicę urodzin jego córki Zosi, w takt głośniejszej muzyki tanecznej z megafonów obozowych 18.400 Żydów zostało zamordowanych na Majdanku. Henryk Wieliczański był chyba jedynym mężczyzną – Żydem, który to przeżył. Wiele lat później kustosz muzeum na Majdanku powiedział mi, że kilka Żydówek także zostało nie rozpoznanych i przeżyło tę masakrę.

W ramach „eksperymentów medycznych” Henryk został w obozie zaszczepiony tyfusem plamistym, ale dzięki ogólnej odporności i boskiej pomocy przeżył tę chorobę. Po wyzdrowieniu, będąc jednocześnie odpornym na ponowne zarażenie, został jako więzień – lekarz oddelegowany do baraku tyfusowego.

W obozie niebezpieczeństwo czyhało na każdym kroku nie tylko ze strony Niemców, ale także współwięźniów. Do doktora Wieliczańskiego będącego już w baraku tyfusowym, gdzie hitlerowcy i kapo, bojąc się zarazić, niezbyt chętnie zaglądali, przyszedł raz współwięzień z cyklistówką pełną złotych monet i tak zaczął rozmowę:

– Henryk, schowaj to dla mnie gdzieś tutaj w brudach, gdzie nikt nie będzie grzebał. Ja będę przychodził i odbierał po jednej monecie, żeby dokupić sobie chleba. (W obozie istniał czarny rynek i więźniowie, kapo, a czasem Niemcy wymieniali np. kawałek chleba za papierosy, czy kosztowności.) Za usługę zatrzymaj połowę monet dla siebie.

– Słuchaj, towarzyszu niewoli – odpowiedział wówczas doktor. – Ja nic o tym nie chcę wiedzieć, nie widziałem ciebie z moneciami, a złoto w obozie to śmierć.

Tenże współwięzień został w ciągu paru dni obrabowany przez innych, prawdopodobnie więźniów kryminalistów, i zamordowany. Ojciec opowiadał tę historię kilka razy, starając się wpoić mi wiarę w życie i dobro, a nie w dobra materialne. On sam, gdy za le-

czenie hitlerowców dostawał cebulę lub pół bochenka chleba, był szczęśliwy. To też pomogło mu przeżyć.

Henryk był także jednym z nielicznych, którzy nie zostali zastrzeleni, w czasie gdy do obozów zbliżała się armia sowiecka. Z Majdanka został przewieziony 14 kwietnia 1944 roku do Oświęcimia, stamtąd w połowie października tegoż samego roku do obozu pracy we Flossenburgu, aż w końcu w kwietniu 1945 roku udało mu się, wraz z 31 współwięźniami, uciec z kolejnego transportu kolejowego do Dachau.

Od kwietnia do maja 1945, wraz z częścią byłych więźniów, Henryk organizował oddział partyzancki, którego został dowódcą. Oddział ten brał udział w rozbrajaniu cofających się wojsk hitlerowskich, głównie SS, SA i gestapo. Za tę działalność przedwojenny porucznik doktor Wieliczański został odznaczony przez władze czeskie w połowie lat sześćdziesiątych medalem wyzwolenia.

Wojna miała się ku końcowi. Warszawa została wyzwolona 17 stycznia, a Łódź 19 tegoż miesiąca, 1945 roku. Teodozja zaczęła pracować w Polpressie, nowo utworzonej agencji prasowej i jako jedna z pierwszych cywilnych pracowników przyjechała tuż za armią radziecką do opustoszałej Łodzi. Przedwojennych Żydów już od dawna tam nie było, większość Polaków zaś opuściła miasto w trakcie okupacji, a duża część łódzkich Niemców uciekła dalej na zachód przed wkroczeniem wojsk rosyjskich. Łódź była niezniszczona, w przeciwieństwie do Warszawy, która była jednym gruzowiskiem.

Teodozja, nie wiedząc, czy Henryk żyje, zdecydowała się na przydział dużego, w tamtych czasach, pustego mieszkania, licząc, że może będzie w przyszłości żyła z wynajmowania pokoi. Mieszkanie przy ulicy Piotrkowskiej miało ponad 200 metrów kwadratowych, rzeźbione sufity i dwa wejścia, jedno główne i drugie tak zwane służbowe. Ta decyzja, dobra w systemie kapitalistycznym, odbiła się w przyszłości na rodzinie, gdy komuna nakazała dokwaterowywać lokatorów do dużych mieszkań.

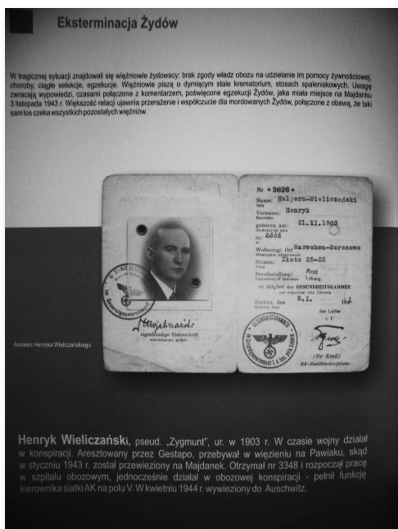
Będąc dosyć zaradną osobą, Teodozja umeblowała mieszkanie i sprowadziła z Warszawy trzypółletnią córeczkę oraz swoją matkę. Po 4 miesiącach wrócił do Łodzi wymęczony obozami Henryk i oboje po raz drugi zaczęli planować przyszłość. W wielu grypach, wysyłanych do Teodozji z Majdanka, Henryk marzył, o ile przeżyje wojnę, żeby mieć syna. Teodozja chciała, aby wyjechali jak najszybciej do Anglii, gdzie wielu ich znajomych już było albo się wybierało. Henryk, będąc większym od swojej żony patriotą i zmęczony wojną, nie chciał o żadnym wyjeździe słyszeć i postanowił, jak zawsze później mówił, „budować Polskę”.



Dr Henryk Wieliczański jako dowódca oddziału partyzanckiego na terenie Czech (Praga, kwiecień 1944 roku)



Wycinek z duńskiej gazety „Berlingske Tidende” przedstawiający zdjęcie małżonków Teodozji i Henryka Wieliczańskich wraz z ówczesnym ambasadorem Izraela w Danii, który dziękuje rodzicom za opiekę nad Żydami w czasie wojny (Kopenhaga, listopad 1981).



Muzeum na Majdanku opisuje w swoim wydawnictwie przeżycia dr. Wieliczańskiego w czasie wojny (Lublin, 2008).

DZIECIŃSTWO

Henryk Jerzy Wieliczański, syn Henryka i Teodozji, urodził się na początku października 1947 roku w mieszkaniu rodziców przy ulicy Piotrkowskiej 152. Poród odbierał przyjaciel Henryka seniora, ginekolog Karol Tietz, polski Niemiec, z którym Hersz Halpern w 1923 roku ukończył gimnazjum Brauna.

Karol Tietz, czując się bardziej Polakiem niż Niemcem, został po wojnie w Łodzi. Jako pierwszy lekarz pochodzenia niemieckiego dr Tietz został przyjęty do Łódzkiej Izby Lekarskiej i właśnie tylko dzięki pozytywnym oświadczeniom dr. Wieliczańskiego przed Sądem Okręgowym tejże Izby.

Mogę śmiało powiedzieć, że skoro miałem ojca Żyda, matkę Polkę a Niemiec pomógł mi przyjść na świat, stałem się zatem 100-procentowym łodzianinem.

Niewiele pamiętam z najwcześniejszego dzieciństwa, ale tak jak wszyscy chłopcy w tym czasie bawiłem się z kolegami na podwórku w chowanego, jeździłem na jakimś zdezelowanym rowerku i grałem w kipla: grę, która polegała na rzucaniu i zbijaniu monet na bruku. Nie było w tym czasie telewizji i nawet nie każdy miał radio. W niektórych mieszkaniach zainstalowane były jedynie głośniki, nadające jeden program radiowy: indoktrynacje komunistyczne przeplatane muzyką. Gdy miałem 3–4 lata, rodzice wysyłali mnie na całą wiosnę do pobliskich Grotnik, gdzie było dużo lasów, aby dziecko było z dala od murów miasta i zanieczyszczonego w nim powietrza.

Ojciec mój, zatrudniony w szpitalu Akademii Medycznej jeździł co roku jako konsultant do sanatorium w Polanicy. Tam też zabrał mnie raz, gdy miałem 5 lat. Polanica, ten były przedwojenny kurort niemiecki, położona jest w pięknej okolicy i taki wyjazd był dla małego Henia niemałą frajdą. Niestety nie mogłem mieszkać z ojcem, który miał służbowy pokój w sanatorium, i dlatego zostałem na cały miesiąc pobytu umieszczony w pobliskim klasztorze pod opieką sióstr karmelitanek. Rodzice uznali, że to będzie najlepsze miejsce, gdzie, oczywiście za odpowiednią opłatą, siostry zajmą się mną w czasie, gdy ojciec był zajęty pracą.

Mimo że zostałem wychowany w religii katolickiej dopiero tam, w tym klasztorze, przeszedłem religijny „chrzest bojowy”. Musiałem uczestniczyć w codziennych modlitwach i służyć do mszy jako ministrant. Tam też poznałem od środka system klasztoru, który później zawsze porównywałem do reżimu wojskowego. Siostra przełożona była od wydawania rozkazów, które zostały wykonywane bez sprzeciwu przez jej podwładne. Te siostry, które były albo wykształcone, jak na przykład jedna dyplomowana pielęgniarka, lub te, które wniosły do zakonu niemały posag, miały lepsze pozycje w hierarchii. Pracowały one głównie w administracji lub w opiece medycznej. Można je było zawsze poznać po lepszych i bardziej czystych habitach.

Natomiast cała rzesza „podwładnych sióstr” była po prostu zatrudniona w polu, przy obrządzaniu zwierząt domowych oraz sprzątaniu i gotowaniu. Siostry te pracowały całe dni bez możliwości sprzeciwu. Nie miały one nawet opcji opuszczenia zakonu. Przypuszczam, że za drobne przewinienia były też surowo karane. Pobyt w Polanicy utkwił mi bardzo w pamięci i dlatego później rozumiałem, na jakiej zasadzie funkcjonowały zakony i szkoły katolickie na całym świecie.

Z tego okresu pamiętam także jeden ciekawy szczegół. W czasie gdy miałem około 5 lat, ojciec mój kupił samochód. Było to dosyć dziwne, bo tata Henryk nigdy nie był zainteresowany motory-

zają i nawet później bardzo rzadko jeździł tym autem. Wszystko zaczęło się od tego, że ojciec, oprócz pracy w Akademii Medycznej, był także lekarzem komitetu partii w Łodzi. Mimo że sam był bezpartyjny, prawdopodobnie dostał tę pracę, gdyż miał opinię doskonałego diagnosty. Oczywiście ojciec był kilkakrotnie namawiany do członkostwa w partii, ale aż do połowy lat pięćdziesiątych, gdyż dopiero wtedy mu wymówiono tę pracę, „uchował się” jako jedyny chyba bezpartyjny pracownik komitetu. No i otóż jednego dnia oznajmił rodzinie, że odkupił od komitetu hillmana minxa: czarnego, 4-drzwiowego angielskiego sedana. Było to w okresie, gdy w powojennej Polsce jeden prywatny samochód przypadał na ponad tysiąc rodzin i były to zazwyczaj auta produkowane w komunistycznych Niemczech, słabe dwutaktowe DKW, zwane potocznie: dykta, klej i woda.

Suma, którą doktor Henryk zapłacił za hillmana, była symboliczna, i to jeszcze rozłożona na raty, bez procentów. Nigdy nie dowiedziałem się na pewno, jak ten samochód dostał się do rodziny Wieliczańskich, ale po wielu latach doszliśmy z siostrą do wniosku, że było na to jedyne racjonalne wytłumaczenie. Wśród pacjentów Henryka seniora była między innymi towarzyszka Tatarówna, pierwszy sekretarz komitetu partii i postrach wszystkich dyrektorów fabryk, których po wezwaniu „na dywanik” potrafiła obrzucać obelgami, używając najbardziej rynsztokowego języka. Towarzyszka Michalina, jak ją potocznie nazywano, to przedwojenna prządka, która wywindowała się do najwyższego „stołka” w Łodzi, będąc niezamężną panienką. Chodziły także słuchy, że miała w tym czasie romans z ówczesnym szefem urzędu bezpieczeństwa, słynnym Moczarem. W tym okresie środki antykoncepcyjne nie były używane, a przerywanie ciąży było przestępstwem. Według naszej teorii, Michalina zaszła w ciążę z ubekiem, a doktor Henryk zorganizował później jej przerwanie, prawdopodobnie przez Karola Tietza. Niedługo potem, jak ojciec kupił hillma-

na, Tatarkówna poleciła jednemu ze swoich podwładnych, Majkowskiemu, żeby się z nią ożenił. No i ten oczywiście nie śmiał się sprzeciwić. Czyżby więc hillman był podziękowaniem za nietypową usługę? Bardzo prawdopodobne! Wszechmocna w Łodzi Tatarkówna-Majkowska była zresztą także członkiem Komitetu Centralnego, najwyższego ośrodka władzy w ówczesnej Polsce.

Szkolę zaczynało się po ukończeniu siódmego roku życia. Nie wiem, czy tak się naraziłem rodzicom, czy też uznali, że umyslowo nadaję się iść tam wcześniej, słowem, w szkole wylądowałem mając niecałe 6 lat. Do szkoły państwowej nie mogłem jednak iść, bo byłem za młody. Dlatego też zacząłem naukę w prywatnej szkółce, prowadzonej przez emerytowaną nauczycielkę Gerę Nusbaumową, która w ten sposób dorabiała sobie do ubogiej emerytury. Lekcje dla około tuzina uczniów, wszystkich z tak zwanych „dobrych domów”, odbywały się przy dużym stole obiadowym w prywatnym mieszkaniu pani Gery, do którego miałem piechotą nie więcej niż 10 minut drogi. Pamiętam, że byłem bardzo dumny, gdy na koniec roku szkolnego dostawałem z geografii i matematyki rzymskie piątki, co oznaczało więcej niż 100 proc. Ponieważ pani Nusbaumowa prowadziła tylko pierwsze trzy klasy, od czwartego oddziału musiałem pójść już do szkoły państwowej.

Wówczas trafiłem do „trójki”. Nie było to łatwe, bo tak nazywana popularnie szkoła nie była w moim rejonie zamieszkania i rodzice musieli użyć „dojść”, czyli znajomości, żeby tam mnie umieścić.

Jak się zresztą później sam przekonałem, w socjalistycznej Polsce bez znajomości można było się tylko powiesić. I to też nie za bardzo, bo aby dostać miejsce na cmentarzu, trzeba było także mieć „dojście” lub dać łapówkę. Znajomości wymagały zakupy mięsa i sprzętu gospodarstwa domowego, umieszczenie dziecka na koloniach czy dostęp do dobrego lekarza. Kupno samochodu, przydział mieszkania lub podłączenie telefonu to były przedsięwzięcia, na które czekało się latami, już po dokonaniu przedpłaty.

Przedwojenne Gimnazjum im. Piłsudskiego przekształciło się po wojnie w III Szkołę Podstawową i Liceum Ogólnokształcące im. Tadeusza Kościuszki, zwane potocznie „trójką”. W przeszłości uczęszczało tam wielu sławnych łódzian, między innymi przed wojną uczniem był tam znany pisarz Tuwim, a po jej zakończeniu późniejszy marszałek Spychalski. Najważniejszy był jednak poziom nauczania. „Trójka” miała najlepszych nauczycieli i niemal wszyscy jej absolwenci dostawali się bez przeszkód na studia. Ale nie wszyscy uczniowie podstawowej „trójki” zostawali absolwentami liceum. Ci, którzy nie dostawali się do liceum w „trójce”, przechodzili do innych szkół.

Moje cztery lata w podstawówce, od klasy czwartej do siódmej, były nie tylko spędzone na nauce arytmetyki i języka polskiego, ale przede wszystkim na nauce życia. Szkoła była koedukacyjna, więc do tej samej klasy chodzili chłopcy razem z dziewczynkami. Różnice wieku i poziomu wychowania były niemałe. W mojej klasie byli koledzy starsi ode mnie o 4 lata i razem z dziećmi z tzw. dobrych domów były tam dzieci pijaków lub samotnych matek, nie mających czasu na ich wychowanie. Pamiętam, że w piątej klasie siedziałem w ławce z Karolem Świerczewskim, synem słynnego generała o tym samym nazwisku, a w siódmej moim sąsiadem w ławce był starszy ode mnie o 3 lata Leszek Kolak, który ponoć niedługo po skończeniu szkoły wylądował w więzieniu.

„Trójka” sąsiadowała z parkiem im. Henryka Sienkiewicza. Tam właśnie po lekcjach często graliśmy w piłkę albo byliśmy świadkami porachunków osobistych między uczniami. Najbardziej agresywni bili się ze sobą na czarnym placu, czasem do „pierwszej krwi”, albo gdy mocniej pobity przyznawał się do porażki. Pojedynkowi przyglądało się grono kolegów, kibiców, dopingujących swojego faworyta.

Będąc najmłodszym w klasie i najmniejszym, nie miałem zamiaru zostać pobity i dlatego postanowiłem znaleźć sobie obrońcę. W klasie było sporo przerośniętych, którzy powtarzali klasy: byli oni

starsi i zazwyczaj nie za mądrzy. Jednym z nich był Leszek, o głowę wyższy ode mnie i budzący strach wśród innych uczniów. Mimo że już nieraz powtarzał klasy, miał ciągle problemy z nauką. Zatem ja mu pomagałem odrabiać lekcje, a on miał za zadanie mnie bronić. Kiedy zresztą rozeszło się, że raz ktoś mnie popchnął i potem dostał za to w skórę od Leszka, miałem w szkole spokój na zawsze.

Dzieci w owych czasach nie dostawały kieszonkowego. Rodzice kupowali im ubranie, czasem zabawkę, książkę lub loda, ale pieniędzy z reguły się nie dawało synowi czy córce. Z drugiej strony trzeba było jakoś zdobyć te parę złotych na znaczki pocztowe lub monety, jeżeli było się zbieraczem, albo należało coś mieć przy sobie na gry hazardowe. Od najmłodszych lat chłopcy grali na pieniądze w kipło i w karty. Wielu kolegów „podbierało” pieniądze rodzicom, ja natomiast wybrałem inną metodę. Na początku wymieniałem mniejszą srebrną monetę, z byłym marszałkiem Piłsudskim, na większą bo mniejsze lepiej „zbierały” w kipło. Potem wymieniałem większą na dwie mniejsze i tak się zaczęło. Monety, którymi handlowaliśmy, to przedwojenne srebrne dwu-, pięcio- i dziesięciozłotówki, które ludzie przechowywali podczas okupacji, a po wojnie dawali dzieciom do zabawy. Moi rodzice nie mieli nic sprzed wojny, bo wszystko stracili, ale ja i tak wkrótce byłem do przodu, jeżeli chodzi o ich kolekcjonowanie.

Nikt za bardzo tego nie wiedział, ale istniejąca państwowa instytucja „Jubiler”, zajmująca się odzyskiem i sprzedażą srebra, miała mały punkt skupu w pasażu niedaleko Piotrkowskiej 137. I tam właśnie ja się „zarejestrowałem”. Ponieważ dużo brakowało mi do osiemnastego roku życia, a tylko takie osoby mogły sprzedawać tam złom srebrny, poszedłem do punktu skupu z naszą gosposią, Marynią, która podpisała sprzedaż „in blanko” na moje przyszłe transakcje. Teraz, mając już nieograniczony zbyt, sprzedawałem odkupywane od kolegów srebrne monety i sztucce. No i gotówka zaczęła płynąć. Za zarobione pieniądze kupowałem

znaczki pocztowe, które zbierałem, zegarki, a z czasem nawet i złote monety. Jednym z sąsiadów był mój rówieśnik Krzysio Szerzyński, syn geodety, mieszkający na trzecim piętrze w tej samej kamienicy co ja, przy ulicy Piotrkowskiej. Ojciec Krzysia dorabiał sobie po godzinach, jak zresztą większość Polaków, i lokował te ekstrazarobki w „świnkach”, czyli złotych carskich 5- i 10-rublowkach. Ponieważ w tych czasach nie było ani sejfów, ani nawet kont bankowych, inżynier Szerzyński trzymał swoje monety w szafie, w puszcze po kawie. Krzysio jakoś wywachał tę skrytkę, a będąc w potrzebie zdobycia pieniędzy, zaczął mi sprzedawać, po monecie, ojca majątek. Jak tych monet trochę ubyło, to się przestraszył i zrezygnował z „łatwych pieniędzy”.

Oprócz Krzysia byli i inni. Pamiętam dobrze Lucka, który przynosił mi zastawy srebrne, najpierw te złomowe, a później już zupełnie dobre. Niezły obrót miałem też na zegarkach. W latach pięćdziesiątych, jeszcze przed wprowadzeniem na rynek rosyjskich „cebul”, jedyne dostępne na rynku, i to bardzo drogie, były zegarki szwajcarskie. Nie każdego było stać na taki zegarek, który kosztował miesięczną pensję robotnika. Kiedyś w szkole jedna z nauczycielek zauważyła, że wymieniałem z kolegą jakieś zegarki. Doszło to do dyrektora i, w czasie przeprowadzonej szybko rewizji osobistej, znaleziono u mnie 5 zegarków. Podejrzewając, że są one albo zabrane z domu, albo ukradzione, wezwano do szkoły rodziców, którym wręczono zabrany mi okup. Tłumaczenia miałem co nie miary: musiałem powiedzieć, od kogo i za ile kupiony był każdy zegarek. Po sprawdzeniu faktów rodzice oddali mi zegarki, ale zabronili dalszego handlu. No cóż, od tego czasu stałem się bardziej ostrożny. Drugi raz już nie dałem się złapać!

Rodzice moi nie bardzo mieli czas się mną zajmować. Ojciec pracował zawsze na dwóch etatach, w szpitalu i w przychodni, oraz dodatkowo prowadził 3 razy w tygodniu prywatną praktykę. Wiezorami chodził na zebrania różnych stowarzyszeń kombatan-

kich, a w niedzielę odsypiał zaległości z całego tygodnia. Mama po moim urodzeniu się prowadziła gabinet kosmetyczny i jednocześnie pracowała jako charakteryzatorka w Łódzkiej Wytworni Filmów. Miałem zapracowanych rodziców i dlatego moim wychowaniem na co dzień zajmowała się gosposia Marynia, nasza pomoc domowa, traktowana przez nas wszystkich jak członek rodziny.

Praca Teodozji w filmie nie trwała jednak za długo. Gdy miałem jakieś 4 lata, ojciec dostał ataku ischiasu i musiał leżeć sztywno na podłodze. Będąc chorym w domu zauważył, że nie ma żony, która pracowała do późnych godzin przy kręceniu kolejnego filmu. Jako tradycyjny mąż, któremu nie spodobała się taka wieczorna praca żony, wziął łaskę i pokuśtykał do Wytworni Filmów. Tu, w czasie nagrywania, w obecności całej ekipy, pokręcony ischiasem i wspierający się na lasce Henryk wziął Teodozję za rękę i powiedział głośno: „Nie będziesz więcej pracowała w tym małym gaju”. I tak się skończyła kariera filmowa mamy, która trochę tego później żałowała, ale nie sprzeciwiła się decyzji męża.

Przez wiele lat rodzice byli zaprzyjaźnieni z wieloma filmowcami, a niektórzy z nich byli ojca pacjentami. Operator Forbert i jego żona – reżyser Kaniewska należeli do tej grupy. Kiedyś też przyszła na przebadanie do prywatnego gabinetu taty Ewa Kwiatkowska, 17-letnia wówczas gwiazda filmu „Basia chce spać”. Utkwiło to mi w pamięci, bo przez dziurkę od klucza starałem się ją dokładniej obejrzeć. Łódź miała jedyną szkołę filmową w Polsce i stąd wyszły znane nazwiska takie jak: Ford, ten od „Krzyżaków”, w którego ekipie pracowali mama oraz Wajda, a z późniejszej generacji Skolimowski i Polański.

Szkołę podstawową skończyłem w terminie i z niezłymi ocenami. Pomogłem też w tym Leszkowi, który zrewanżował mi się piękną monetą numizmatyczną. Później dopiero przyznał mi się, że „zwinął” ją specjalnie dla mnie z muzeum. Nie wiem, czy to była prawda, czy też chciał mi tym zaimponować, ale wiem, iż był

z niego niezły „ananas”. Po wielu latach dowiedziałem się, że przywalił cegłą milicjantowi i dlatego wylądował w kiciu. Dla mnie był on jednak zawsze niezastąpionym obrońcą.

W Polsce brakowało wówczas wszystkiego, a przede wszystkim mieszkań. Bez względu na to, czy ktoś zajmował mieszkanie własne, czy czynszowe, nie mógł mieć więcej pokoi oraz powierzchni mieszkalnej, niż to było dozwolone. Mimo że mojemu ojcu przysługiwał dodatkowo jeden pokój na gabinet lekarski, to 200 metrów kwadratowych było za dużo na nas pięcioro: rodziców, siostrę, Marynię i mnie. I dlatego rodzice musieli przyjąć lokatorów.

W momencie gdy kończyłem szkołę podstawową, rodzice mieli dwóch lokatorów. Jeden pokój zajmował inżynier Kawiński, wicedyrektor Zjednoczenia Przemysłu Skórzanego będący obiektem zazdrości sąsiadów, gdyż zawsze rano czekał na niego pod domem samochód służbowy. Kazio, jak go wszyscy nazywaliśmy, był długo starym kawalerem i dopiero po czterdziestce ożenił się z lekarką, asystentką naszego taty. Na zawsze został on jednak przyjacielem rodziny i był częstym gościem domu, nawet po wyprowadzeniu się od nas.

W dodatkowych dwóch pokojach mieszkała imigrantka z kresów, wdowa, pani Montygierdowa wraz z synem, który niedawno przed wprowadzeniem się do nas ukończył politechnikę. Młody Montygierd był dosyć ciekawym człowiekiem, bo ciągle odwiedzały go piękne modelki. W czasie tych odwiedzin wysiadały w całym domu bezpieczniki, czy jak je się popularnie nazywało, „korci elektryczne”. Montygierd szybko łątał korki drutem, ale za chwilę było to samo: ciemno w całym mieszkaniu. Byłem jeszcze wtedy za młody, żeby wciągać mnie w takie tajemnice, ale jak to nasza Marynia odkryła, prawdopodobnie przez dziurkę od klucza, młody inżynier dorabiał sobie robiąc zdjęcia pozującym do zachodnich tygodników roznegliżowanym panienkom. Potrzebował do tego dużo światła i dlatego przeciążał w czasie tej „pracy” bezpieczniki w całym domu.

W okresie gdy mieliśmy lokatorów, razem z siostrą staraliśmy się wymyślać praktyczne dowcipy, ku ucieście naszej Maryni. Inżynier Kawiński, wracając raz na dobrej „bani”, co było u niego zresztą normalne, zastał na drzwiach wejściowych wizytówkę nieznanej osoby, zrobioną oczywiście przez nas, i chodził z piętra na piętro nie wiedząc, gdzie jest jego mieszkanie. Z kolei raz położył się do łóżka, w którym pod prześcieradłem było chyba z 50 żywych chrabąszczy, których wygonienie z pokoju zabrało mu, w środku nocy, ze dwie godziny. Z kolei pani Montygierdowa raz wyszła ze swojego pokoju w nocy na, wymalowaną na ścianie korytarza fosforyzującą farbą, trupią czaszkę. Oczywiście za te wszystkie kawały obrywaliśmy potem od rodziców, ale co mieliśmy śmiechu – to nasze.

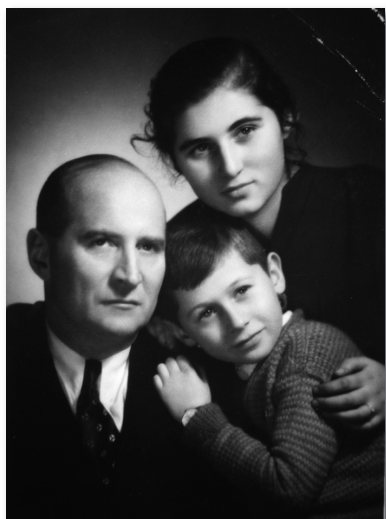
Gdy chodziłem jeszcze do podstawówki, przeglądając jakieś papiery w domu natrafiłem pewnego dnia na kopię dyplomu doktorskiego mojego ojca. W pierwszej chwili nie doszło do mnie powiązanie imion i nazwisk, ale natychmiast mój umysł zaczął pracować jak przyszły komputer. Imię na dyplomie, Izrael Hersz Halpern Wieliczański, było dla mnie obce, gdyż tatę znałem jako Henryka Wieliczańskiego. I w pierwszej chwili myślałem, że chodzi o kogoś z dalszej rodziny. Jednak gdy po chwili zobaczyłem datę urodzenia, którą oczywiście znałem, wszystko stało się dla mnie jasne – mój ojciec był Żydem. Dla 12-letniego chłopca takie odkrycie było wtedy szokiem. Nie powiedziałem o moim „odkryciu” ani rodzicom, ani siostrze, ani oczywiście nikomu spoza rodziny.

Po tym zdarzeniu ja, mały Henio, któremu siostry katechetki wpajały religię katolicką od najmłodszych lat, przestałem chodzić do kościoła i nie przystąpiłem do bierzmowania. Ponieważ, podobnie jak mój ojciec, nie miałem rysów semickich, więc przy wielu okazjach byłem świadkiem wypowiedzianych przez rówieśników, a także przez dorosłych antyżydowskich opinii i dowcipów. Moja, 6 lat ode mnie starsza, siostra, zdała sobie sprawę z pochodzenia ojca dopiero, gdy pracowała na stażu jako młoda lekarka i je-

den z lekarzy skomentował: „znowu mi przyjdzie pracować przez cały dyżur z Żydówką”. Wiele lat później zrozumiałem, że wielu lekarzy łódzkich, często z polskimi nazwiskami, było pochodzenia żydowskiego. Na ginekologii profesorowie Sieroszewski i Laudańska, na internie profesor Jakubowski, na urologii profesor Mazurek, na neurologii profesor Herman, a na dermatologii profesor Lutowiecki. W Wojskowej Akademii Medycznej były takie znane nazwiska jak Himmel, Segal oraz Stein. Oni wszyscy i wielu innych polskich Żydów przyczyniło się do utworzenia uczelni medycznych w powojennej Łodzi. Po 1968 roku większość z nich wyjechała z Polski i, o ile mi wiadomo, to docent Fenigsen wyładował w Danii, profesor Himmel w Niemczech, a szalenie zdolny chirurg kardiolog doktor Skotnicki w Holandii. Ci, którzy zostali, często byli pozbawieni stanowisk i, tak jak w przypadku profesora Mazurka juniora, znajdowali zaledwie, i to nie zawsze, zatrudnienie w małych miejscowościach.

Gdy zacząłem chodzić do liceum, przepisy się zmieniły i lokatorzy rodziców powoli się wyprowadzili. Mieszkanie zostało prze-meblowane i oboje z siostrą odziedziczyliśmy po nich pokoje.

Z ojcem i siostrą (Łódź, 1956)





Mały Henio (Grotniki pod Łodzią, około 1950)



Z siostrą Zosią (Zakopane, około 1951)



Autor w wieku 5 lat



W hillmanie (Łódź, około 1955)



Henio z mamą (z lewej) i siostrą przy grobie
Władysława Warnerńczyka (Bułgaria 1957)



Henio, drugi z lewej, najniższy i najmłodszy w klasie (Łódź, 1960)

WIEK MŁODZIEŃCZY

Do liceum poszedłem na początku lat sześćdziesiątych. Był to okres odwilży politycznej. Ojciec nie pracował już ani w Akademii Medycznej, ani w komitecie. Siostra była na drugim roku studiów lekarskich, a mama zarządzała dwoma ambulatoriami medycznymi. Zdecydowana większość kolegów w liceum „trójki” to już byli ci, którzy zamierzali iść na studia. Nie znaczy to, że cały czas uczyliśmy się. Nie, po prostu uczniowie byli tam bardziej zdolni. Ci, którzy się nie dostali do liceum, poszli do szkół zawodowych i technicznych. Nam wypełniano mózgi literaturą, historią, matematyką i innymi przedmiotami teoretycznymi.

Nie należałem do najlepszych uczniów, ale zawsze byłem niedaleko nich. Za to brałem udział w wielu incydentach, które do dziś wspominam z łezką w oku. W dziewiątej klasie mieliśmy nauczycielkę geografii, starą pannę około sześćdziesiątki, panią Szwałm, bardzo nielubianą przez uczniów. Tak się złożyło, że w tym samym czasie było modne strzelanie z korkowców polegające na uderzaniu kulki zawierającej magnez i chlorek potasu. Wystarczyło taką kulkę o średnicy 3–4 milimetrów spuścić na podłogę, aby spowodować głośny huk podobny do wystrzału z karabinu. W naszej klasie wisiał zazwyczaj, tuż nad tablicą, portret premiera rządu, przykrywający wychodzące ze ściany przewody elektryczne. Otóż zbiegiem okoliczności portret ten spadł i został oddany do naprawy, a wystające przewody aż prosiły się, żeby je gdzieś podłączyć.

W czasie lekcji geografii, gdy pani Szwałmowa coś mówiła, zawsze panowała absolutna cisza. Nikt nie śmiał się odezwać czy odwrócić, bo groziło to wezwaniem do tablicy i prawie pewną dwójką. Po zaplanowaniu strategii nastąpił czas ataku. Jako pierwszy położyłem kulkę na kciuku i pstryknąłem ją palcem wskazującym pomiędzy wystające nad tablicą przewody. Panująca w klasie cisza jeszcze bardziej spotęgowała więc ten wybuch tuż za plecami pani nauczycielki. Trochę rozdygotana pani Szwałmowa mogła myśleć, że to zwarcie elektryczne przeszkodziło jej w lekcji. Aby ją jednak przekonać, że to nie przypadek, dwóch kolejnych kolegów w 10-minutowych odstępach wystrzeliło podobne kulki w różnych rogach klasy. Efekt tej zabawy był taki, że błada pani od geografii skończyła lekcję przed czasem i pognąła do dyrektora ze skargą i listą podejrzanych o zamach na nią. Na tej liście byli dwaj strzelający koledzy, Sławek Wiszniowski, Rysiek Wesołowski, i dostawca kulek Andrzej Rybus. Mnie na liście nie było.

Podczas następnej lekcji, gdy podejrzani z listy pocili się już w gabinecie dyrektora, wpadła do klasy jego sekretarka z wyraźnym poleceniem: „Koledzy nie wydali tego trzeciego, który strzelał, ale on ma się natychmiast przyznać, bo jak tego nie zrobi to mu grozi wyrzucenie ze szkoły.”

Wtedy sobie pomyślałem – „to już nie przelewki”, wstałem z ławki i podążyłem za sekretarką do gabinetu dyrektora.

Wszyscy otrzymaliśmy naganę, pani Szwałmowa zaś po paru dniach nieobecności zjawiała się z powrotem już jako przyjazna i zupełnie odmieniona osoba. Doszła do wniosku, że jednego mogła-by zgnoić, ale z grupą nie da sobie rady.

Podobną historię mieliśmy na lekcji przysposobienia wojskowego. To był taki przedmiot, na którym uczono nas strzelać z KBKS-u (to taki karabin 22), rozpoznawać mapy i znajdować drogę do domu, gdy się zgubimy w lesie. Otóż nasz nauczyciel, zresztą późniejszy dyrektor szkoły, zostawił przed lekcją w naszej

klasie swoją wojskową aktówkę. Była to powszechna praktyka nauczycieli, aby przed lekcją przynieść do klasy materiały pomocnicze i nie tracić na to czasu później. Ponieważ to było w czasie tak zwanej długiej przerwy, trwającej 15 minut, większość z nas nie miała nic do roboty i jeden z kolegów zaproponował zakład: wyrzucę krzesło nauczyciela przez okno za 5 złotych. Nie trzeba było długo czekać i gdy kilku z nas złożyło się na wygraną, krzesło wyleciało z drugiego piętra na wybrukowany plac przed szkołą.

Wszyscy obecni podskakiwali z radości, wyobrażając sobie miłą pana Wiatrowskiego, który nie będzie miał na czym siedzieć. A że do lekcji pozostało jeszcze z 5 minut, ktoś następny wyszedł z propozycją: „a ja za 30 złotych wyrzucę aktówkę nauczyciela za okno”.

Sławek, który zarobił już 5 złotych na krześle, pierwszy wrzucił do kapelusza cały zarobek. W ciągu minuty uzbierała się cała suma i służbowa torba wyfrunęła, podążając śladem krzesła. Wszyscy z zapartym tchem czekali na reakcję nauczyciela, który wchodząc do klasy natychmiast połapał się, co się stało.

– Chcę wam tylko powiedzieć, że nie będę wyciągał konsekwencji, ale ponieważ w aktówce było 10 wojskowych szklanych kompasów, więc ten, kto to zrobił, będzie musiał zapłacić za wszystkie zniszczenia – powiedział ze spokojem pan Wiatrowski.

Błady strach padł na uczestników przedsięwzięcia. Po pierwsze, takich kompasów nie można byłoby kupić na otwartym rynku, a po drugie, cena ich była zawrotna.

Natychmiast jeden pobiegł na dół po aktówkę, drugi poleciał po krzesło. I co się okazało? Wojskowa torba miała grubą podszewkę, która ochroniła wszystkie kompasy.

Ten, który zarobił 30 złotych za 5 minut strachu, został bohaterem dnia.

Po koniec roku szkolnego, gdy kończyłem dziewiątą klasę, przyszła na lekcje nauczycielka fizyki, pani Karaskowa. Była bardzo zmartwiona, bo dyrektor obarczył ją społeczną rolą opiekuna szkol-

nego sklepiku spożywczego. Nie wiedziała, jak się do tego zabrać – no i oczywiście musiała powołać uczniowski zarząd spółdzielni. Nikt nie chciał zgłosić się na ochotnika, a każdy wydelegowany wykręcał się, jak umiał. Spółdzielnia „padła” już w przeszłości, bo z prowadzeniem jej związana była odpowiedzialność finansowa i zobowiązanie czasowe. Nie wiem, jak to się w końcu stało, ale ktoś rzucił moje nazwisko, następny potwierdził, że będę się nadać – no i pani Karaskowa znalazła we mnie jelenia.

Ale ze mną nie było tak łatwo. Wynegocjowałem z góry, że będę zwalniany z lekcji, no bo praca taka wymaga czasu na organizację i nadzór. Zostałem prezesem spółdzielni, jak to się hucznie nazywało, ale oprócz stanowiska nie miałem nic. Z lekcji byłem zwalniany, dostawałem dobre stopnie za „zasługi”: trzeba było więc coś wymyślić, żeby podtrzymać egzystencję. Najpierw powołałem zarząd. Na wiceprezesa wydelegowałem Alka Józefowicza, którego ojciec był wówczas dyrektorem „Społem”, spółdzielni obsługującej wszystkie miejskie sklepy spożywcze. Razem z Alkiem wybrałem się więc do pana dyrektora, który wyznaczył nam sklep, w którym będziemy kupować towar i dostawać za to odpowiednią marżę. Oczywiście z marży nasz sklep by się nie utrzymał, ale wprowadziłem odpisy na zepsuty materiał, stłuczki itp. Dodatkowo zaczęliśmy sprzedawać papierosy, co było do tychczas zabronione w szkole, ale od czego jest prawidłowa interpretacja przepisów? Przekonałem panią Karaskową, że ten towar przeznaczony jest tylko dla nauczycieli i będzie składowany w niewidocznym miejscu pod ladą.

Towar był zapewniony, miejsce jakoś się umeblowało, problem był ze sprzedawczyniami: no bo która z uczennic zgodzi się siedzieć na przerwie w sklepiku i sprzedawać, bez wynagrodzenia, czekoladki albo rurki z kremem, podczas gdy jej koleżanki opowiadają sobie przygody z poprzedniego dnia i uśmiechają się do chłopców? Ale znalazł się i na to sposób. Ponieważ sklep „zarabiał”

ponadplanowo, to zawsze starczało na czekoladki dla koleżanek sprzedawczyń i dlatego biznes zaczął wkrótce prosperować całkiem nieźle.

Trzy czwarte lekcji fizyki opuszczałem, mając zawsze „coś do załatwienia”, co było przedmiotem zazdrości kolegów, ale jak to w życiu – nie ma nic za darmo. Czwórkę miałem bez pytania „za zasługi”, ale piątki pani Karaskowa nie chciała mi postawić – no bo jak taki Wieliczkański może coś umieć – jak on nie chodzi na lekcje? Była więc mocno zdziwiona, gdy na egzaminie maturalnym, zdawanym już przed komisją, dostałem właśnie piątkę. Ja sam nie pamiętam, jak to się stało: czy jednak czegoś się w końcu nauczyłem, czy też miałem szczęście?

Prawo jazdy na motocykl i samochód można było dostać w wieku 16 lat. Kilku kolegów mogło już jeździć w dziewiątej klasie, ja przekroczyłem ten wiek dopiero w klasie jedenastej, niedługo przed maturą. Bezpowrotnie przeleciały mi przed nosem takie okazje jak na przykład Sławkowi Wiszniowskiemu.

Sławek mieszkał w Łodzi na stacji na rogu Zamenhofs i Piotrkowskiej, gdzie wynajmował pokój od emerytowanego małżeństwa, które w ciągu dnia nie bywało w domu. Rodzice Sławka byli rozwiedzeni i ze sobą nie rozmawiali, a dodatkowo miał on jeszcze w Łodzi babkę, która też miała luźny kontakt z jego rodzicami. Raz zdarzyło się, że kiedy Sławek musiał kupić sobie jesionkę, to dostał na nią pieniądze trzy razy: od ojca, matki i od babki. Ojciec Sławka, przedwojenny kawalerzysta, prowadził stadninę koni w Sarnowie. Jednego dnia Sławek odwiedził tam ojca i „pożyczył” sobie od niego prawie nowiutką skodę octavię. Nie można mu się było dziwić, że mając „chatę” i octavię przez cały tydzień nie przychodził do szkoły.

Gdy skończyłem 16 lat, nie mieliśmy w rodzinie samochodu. Hillman już dawno się rozpadł u kolejnego właściciela, a ojciec nie miał ochoty, i pieniędzy, aby kupić coś nowego. Mnie też nie by-

ło stać na samochód, ale miałem dosyć swojej gotówki na nową SHL-kę, dosyć szalowy, na owe czasy, motocykl. W tym czasie nie było ani ubrań ani kasków ochronnych, a drogi były jeszcze gorsze niż teraz. Kiedy więc oznajmiłem rodzicom swój zamiar, w domu wybuchła awantura rodzinna. Rodzice nie chcieli, dopiero teraz rozumiem, że słusznie, abym kupował maszynę samobójczą. Mnie roznosiła energia, a mając wystarczająco dużo pieniędzy byłem w mocnej pozycji do negocjacji.

Efekt końcowy tej burzy domowej był taki, że ojciec złożył podanie o przydział na nowego rosyjskiego moskwicza, ja się dołożyłem do przedpłaty, resztę zaś płatności rozłożono ojcu na raty. Ponieważ lekarze, z niewiadomych powodów, byli pierwsi w kolejce do przydziału samochodów, wkrótce byłem współwłaścicielem, do spółki z tatą, białego moskwicza. Ojciec prawie nim nie jeździł, tak że tuż przed maturą miałem już swoje cztery kółka.

W jedenastej klasie, przez cały rok, wszyscy uczyliśmy się pilnie do egzaminu maturalnego i wstępnego na studia wyższe, bo każdy chciał się dostać na uczelnię. W ówczesnym systemie politycznym tylko ukończenie studiów, i to jeszcze tych intratnych, zapewniało jakąkolwiek materialną egzystencję. W połowie jedenastej klasy należało już składać podania na odpowiednie uczelnie i o ile nie miało się dostatecznie dobrych ocen na maturze, nie można było dostać się na studia.

W „trójce” większość uczniów w klasach maturalnych była z tak zwanych „domów inteligencji pracującej”. Były to dzieci adwokatów, dyrektorów, lekarzy, inżynierów, a także rzemieślników. Za tak zwane pochodzenie robotniczo-chłopskie można było dostać wtedy dodatkowe punkty w staraniu się o przyjęcie na studia. Jednak większość z nas nie mogła liczyć na to i musiała wyrobić sobie przyjęcie na wyższą uczelnię tylko wiedzą i stopniami.

Oprócz wyników maturalnych liczył się egzamin wstępny, zdawany już na uczelni. Najwięcej chętnych na jedno miejsce było

w Szkole Filmowej – około 10. Na medycynę starało się na jedno miejsce 5–6 osób a na Politechnikę, w zależności od wydziału i roku, 3–6 uczniów.

Moi rodzice, a w szczególności mama, chcieli, abym studiował medycynę i kontynuował tradycję rodzinną. Starsza ode mnie o 6 lat siostra właśnie kończyła ten wydział, podczas gdy ja miałem zacząć studia. Chciałem iść na prawo, ale zostało to mi wybite z głowy, jeszcze gdy zaczynałem liceum. Dobrym znajomym rodziców był znany przedwojenny prawnik Jerzy Sawicki, który w latach sześćdziesiątych prowadził w telewizji popularny ówczesnie program „Paragraf i fajka”. Mecenasa Sawicki w czasie jednej z wizyt w Łodzi, pykając właśnie tę sławną fajkę w salonie u rodziców, tak skomentował moje zainteresowania adwokaturą:

„Ani się waż iść na prawo: w Polsce teraz prawo to bezprawie, a ja to wiem najlepiej!”

Pana Jerzego odwiedzałem później w jego willi na Saskiej Kępie, gdy bywałem w Warszawie, ale nigdy nie zmienił zdania. On sam był po wojnie jednym z prokuratorów generalnych, członkiem nomenklatury i reprezentował Polskę w procesie norymberskim. Jeżeli tak powiedział, to należało się go słuchać.

Do medycyny miałem niechęć. W domu przy obiedzie były zawsze rozmowy na tematy lekarskie, w których uczestniczyli rodzice i siostra. Ja tego nie znośiłem, poza tym mdlałem, gdy pobierało mi krew, robiło mi się niedobrze, gdy wchodziłem do szpitala: więc także medycyna, czy coś z tym związane, nie wchodziło w rachubę. Gdy byłem w dziesiątej klasie, rodzice wysłali mnie na testy psychologiczne określające przyszłą przydatność zawodową. Pamiętam do dziś, że przy przeciętnej 100 punktów, a sugerowanych wymaganiach na studia 120, mój test wykazał 134 w przedmiotach humanistycznych, a 127 w ścisłych.

Jednak z czystego wyrachowania nie mogłem pójść na Uniwersytet Humanistyczny, by potem zostać nauczycielem lub gryzi-

piórkiem: nie było w tym ani statusu, ani pieniędzy. Pozostawała więc Politechnika.

Na Politechnice Łódzkiej było kilka wydziałów: chemii ogólnej, chemii spożywczej, włókienniczy, budownictwa lądowego, mechaniczny i elektryczny. Najbardziej obiecujący był elektryczny, ale też tam było najtrudniej się dostać. Może trochę przez przekorę, może dlatego, że inne wydziały nie wydawały mi się tak dobre, zdecydowałem się na elektryczny. Punktów za pochodzenie nie miałem i dlatego, w ostatnim roku przed maturą, rodzice zafundowali mi prywatne korepetycje z matematyki. Na egzaminie maturalnym to nie za bardzo pomogło, ale powtórzenie całego materiału z doktorantem Politechniki miało, w wyobrażeniu rodziców, dać mi lepszy start.

Tak jak wszyscy w owym czasie, moi rodzice także szukali równocześnie „dojścia” na politechnice. Na medycynę dostałbym się bez przeszkód, bo prorektorem na Akademii Medycznej był wtedy dobry przyjaciel rodziny, profesor Lipiec, a w dodatku jego żona była moją chrzestną. A że na każdej uczelni były tak zwane miejsca rektorskie, dostanie się na medycynę nie byłoby dla mnie problemem. Natomiast miejsce na politechnice musiałem wypracować o własnych siłach. Co prawda pacjentem ojca był kierownik katedry elektrowni docent Dąbrowski, który obiecał rodzicom „rzucić okiem” na młodego Wieliczańskiego w czasie egzaminu wstępnego, ale wynik musiałem wypracować sam.

Docent inżynier Dąbrowski był przedwojennym dyrektorem Elektrowni Łódzkiej i może nie był z krwi i kości naukowcem, ale miał opinię wspaniałego fachowca w swojej branży. Kiedyś opowiadał mi dosyć ciekawą historyjkę gdy, tuż po wojnie, władze komunistyczne, nie mając innego kandydata, zaoferowały mu jego przedwojenne stanowisko dyrektora elektrowni. Niedługo potem był on wezwany na rozmowę do Urzędu Bezpieczeństwa. Ten bezpartyjny, przedwojenny kapitalista został między innymi zapytany:

– No co, towarzyszu dyrektorze, lepiej było wam przed wojną, czy też teraz w Polsce socjalistycznej?

– Dla mnie nie ma żadnej różnicy – odpowiedział inżynier Dąbrowski. – Wykonuję taką samą pracę i tyle samo zarabiam.

Cytując tę rozmowę, inżynier Dąbrowski dla wyjaśnienia powiedział mi, że przed wojną zarabiał 2500 złotych miesięcznie, a po wojnie dokładnie tyle samo. Tyle tylko, że różnica w sile kupna była chyba 100-krotna. Ale tego głupi ubek nie zrozumiał.

Na pierwszym roku Wydziału Elektrycznego było do obsadzenia 200 miejsc, ale na każde wolne miejsce starało się około 4 osób. Mimo wielkiego strachu, egzamin zdałem prawie bezbłędnie i zostałem jednym z najmłodszych studentów na wydziale.

POLITECHNIKA

Pierwszego roku studiów nie można było powtarzać. Jeżeli ktoś oblał końcowe ćwiczenia lub któryś z egzaminów, to żegnał się z uczelnią. Wszyscy studenci to wiedzieli i dlatego uczyliśmy się wówczas tak jak teraz Chińczycy w Ameryce. Nie było czasu na życie towarzyskie, telewizję czy życie rodzinne. Była tylko nauka i częściowa praktyka w fabryce. Dlatego też pierwszy rok przeleciał jak z bicia strzelił. Nie wiem, ilu z nas odpadło, ale chyba nie więcej niż 10–15 osób.

Prawdziwe życie studenckie zaczęło się od drugiego roku. Wszyscy studenci mężczyźni, kwalifikujący się medycznie do służby wojskowej, mieli raz w tygodniu zajęcia w Studium Wojskowym Politechniki. Tutaj uczono nas musztry, składania karabinu, używania masek przeciwgazowych, a później zasad działania systemów radarowych. Z małymi wyjątkami, większość wykładów Studium nie miała ukończonych studiów wyższych, a więc prowadzone przez nich zajęcia były nudne i nie na poziomie. Oficerowie ci starali się wykazać wynikami przed swoimi przełożonymi a studenci udawali, że się czegoś uczą. No, z wyjątkiem naszej grupy, do której należeli Andrzej Puzder, Jurek Retelewski i ja. My nawet tego nie udawaliśmy. A od czasu do czasu dołączał do nas ktoś inny, gdy potrzeba było na przykład czwartego do brydża.

Wyglądało to z grubsza tak: wydelegowany w danym tygodniu jeden z nas przychodził na pierwszą lekcję wojska, siadał w ostat-

niej ławce i podczas sprawdzania listy głośno odkrzykiwał „obecny” za wszystkich członków grupy. Po zamknięciu listy obecności tenże dyżurny ulatniał się do umówionego miejsca, gdzie czekało na niego 2, 3 kolegów z przygotowanym alkoholem, kartami i „zagrychą”. Niestety, jedzenie było nie najmocniejszym punktem naszego programu. Dlatego pamiętam, jak jednego dnia byliśmy mocno głodni i około południa do butelki wódki mieliśmy tylko „babkę”, czyli duże ciasto. Nikt nie chciał ruszyć tego ciasta, ale głód i alkohol spowodowały, że cała babka poszła w końcu do żołądków.

Jednym z naszych partnerów do brydza był często Jasio Wojtyna, którego rodzina prowadziła masarnię wędlin. Gdy Jasio był z nami, to na „zagrychę” nie mogliśmy narzekać, bo przynosił pyszne kielbasy.

Oczywiście od czasu do czasu musieliśmy odbębnić cały dzień wojska, bo były jakieś egzaminy lub zawody strzeleckie. Ale zaliczenie „woja”, mimo częstych nieobecności, nie było dla nas problemem.

Wszyscy koledzy z „grupy” należeli do ustabilizowanych rodzin łódzkich w przeciwieństwie do wielu innych kolegów z roku, którzy pochodzili spoza Łodzi i mieszkali w domach akademickich.

My mieliśmy też dostęp do samochodów, co było w tym okresie prawie niespotykane wśród młodych ludzi. Jasio Wojtyna, który studiował na uniwersytecie, był ponadto kierowcą rajdowym i przez wiele lat jeździł jako pilot Jaroszewicza, syna ówczesnego premiera. Młody Jaroszewicz, mając przez swego ojca dostęp do nieograniczonych pieniędzy rządowych, kupował co kilka miesięcy nowy samochód. Nasz Jasio, nie chcąc być dużo gorszy, jechał wtedy do rodzinnego majątku w Kwiatkowicach i tam wykopywał z banku „ziemskiego” rodzinne złoto, za które kupował kolejne auto.

Jurek jeździł auto union, a Andrzej NSU – dobrymi samochodami produkcji zachodnoniemieckiej. Ojciec Andrzeja był motorniczym tramwajów i oczywiście nie miał dużej pensji. Ale, jak

większość Polaków, dorabiał sobie nieoficjalnie po pracy. Jego podstawowym źródłem dochodu były oprawki do damskich torebek, które spawał po pracy w małym, liczącym 40 metrów kwadratowych, mieszkaniu. Za te oprawki Puzder senior kupił sobie najpierw nową syrenkę, a gdy nie mógł się wykazać oficjalnym źródłem dochodu umożliwiającym mu zakup tego auta, dostał duży domiar z wydziału finansowego i wkrótce musiał sprzedać syrenkę. Mając już doświadczenie z władzami kupił później dużo lepsze auto, właśnie to zachodnioniemieckie NSU, ale już chyba nie na siebie. Z tego auta korzystał jednak wyłącznie mój kolega Andrzej.

W takim towarzystwie też nie mogłem pozostawać w tyle i jeździć rosyjskim pudłem, jak niektórzy nazywali moskwicza. Rodzice moi nie mieli ani nieoficjalnych dochodów, ani złotych monet w „banku ziemskim”. Ja miałem trochę gotówki, ale to wszystko nie wystarczyłoby na zakup jakichś dobrych czterech kółek na wolnym rynku. W tym czasie dobre zachodnie auto kosztowało w Polsce około 100 przeciętnych miesięcznych pensji. Można się retorycznie zapytać – kogo na to było stać? Jednak wolny rynek pracował i dużo samochodów jeździło po ulicach.

Dla takich jak ja, nie mających nikogo za granicą, jedynym źródłem nowych samochodów były Targi Poznańskie. Wszystkie wystawiane tam auta były sprzedawane, po stosunkowo dostępnej cenie, szczęśliwym śmiertelnikom. Problem był jednak taki, że szczęściu należało pomagać i należało się dostać na listę kupujących. Rozdziałem samochodów z targów zajmował się Szef Urzędu Rady Ministrów, niejaki Wieczorek.

Tak, dzisiaj to wydaje się być bajką w normalnych krajach, także w Polsce gdzie samochód kupuje się bez przeszkód. Jednak w ówczesnej Polsce sytuacja była podobna do istniejącej obecnie w zamkniętych krajach, rządzonych przez dyktatorów komunistycznych: w Korei Północnej i na Kubie.

Jakimś cudem dowiedziałem się, że siostra ministra Wieczorka mieszka w Łodzi i jest żoną profesora Politechniki. Teraz trzeba było już tylko dopracować szczegóły i wprowadzić zamiar w życie. Któregoś popołudnia zadzwoniłem do siostry ministra Wieczorka.

– Mówi Henryk Wieliczański, czy mógłbym rozmawiać z profesorową Prindiszową? – przedstawiłem się, nie wiedząc, z kim mam do czynienia.

– O pan doktor, bardzo mi miło – to ja, Prindiszowa.

– Cała przyjemność po mojej stronie, ja jestem synem doktora i mam przypadkowo to samo imię – sprostowałem małe, ale pożyteczne nieporozumienie.

– Ja znam pańskiego ojca i jest mi miło z panem rozmawiać – w czym mogłabym pomóc?

Widząc, że karty zaczynają się do mnie uśmiechać, nie chciałem jednak przedobrzyć. Postanowiłem skrócić rozmowę i przemyśleć taktykę później.

– Chciałbym z panią porozmawiać osobiście. Czy znalazłaby pani dla mnie pół godziny kiedyś w tym tygodniu?

– Oczywiście nie ma problemu, cały czwartek jestem w domu. Czy zna pan adres?

– Wspaniale, będę o 11 przed południem.

Potwierdziłem jeszcze adres, który oczywiście już znałem wcześniej, i pożegnałem się.

Miałem całe dwa dni do przemyślenia, jak rozegrać czekającą mnie rozmowę. Po pierwsze kupiłem duży kryształ, w który wsa-
dziłem całą zawartość kosza z Delikatesów. Delikatesy to taki, chyba już nieistniejący, łańcuch sklepów spożywczych z atrakcyjnymi importowanymi towarami jak kawa, kakao, sery itp. Do tego dorzuciłem jakiś dobry koniak i prezent wyglądał całkiem okazale. Koszt był niemały, wydałem na niego około 2500 złotych, ale jak to się mówi: *you have to spend money to make money*.

W umówiony czwartek dokładnie o 11 pani profesorowa czekała na mnie. Ładnie wypełniony kryształ ułatwił rozmowę, w czasie której poprosiłem o wstawienie się u jej brata, aby uzyskać przydział auta z targów. Oficjalnie robiłem to nie dla siebie, tylko dla mojego ojca, który jest tak zajęty, że nie mógł sam z tym przyjść. W czasie rozmowy okazało się, że pani profesorowa ma córkę, która za 2 lata wybiera się na medycynę i dlatego chciałaby nawiązać jakiś kontakt z kimś wpływowym w Akademii Medycznej.

Jedyne pytanie, jakie miała do mnie, to: „skąd pan wiedział, że minister Wieczorek to mój brat?” Jakoś z tego wybrnąłem, stwierdzając, że gdzieś na przyjęciu ktoś, kogo nie znałem, wypowiedział się o tym pokrewieństwie.

Z obietnicy kontaktu na medycynie wywiązałem się szybko, a w ciągu niecałych 6 tygodni miałem w ręku przydział na volkswagena 1600 Tl do odebrania w Poznaniu zaraz po targach, które kończyły się za 2 miesiące. W międzyczasie trzeba było zapłacić całą sumę i z przydziałem oraz potwierdzeniem wpłaty zjawić się po odbiór. Samochód kosztował około 50 proc. ceny wolnorynkowej, ale i tak trzeba było zapłacić 160 tys. złotych, co było niemałą sumą. Trochę zostało ze sprzedanego moskwicza, trochę dołożyli rodzice, trochę ja i jakoś się uezbięrało całą sumę.

Po odbiór auta pojechałem pociągiem z siostrą, wtedy już młodą lekarką, ale zupełnie nie znającą życia. Zauważyłem, że była mocno zdziwiona, gdy dawałem 100 czy 50 złotych tym przygotowującym samochód, aby dostać wycieraczki na podłogę, dodatkowy lakier czy narzędzia. W tych czasach za wszystko trzeba było płaćć dodatkowo, zarówno przy kupnie mięsa, jak i samochodu. Kupno tego nowego volkswagena było dla mnie dużym osiągnięciem. W Łodzi były wtedy, łącznie z moim, dwa takie VW 1600 i to dawało mi jeszcze większą satysfakcję.

Właśnie tym volkswagenem po dwóch roberkach i paru kieliszkach ścigałem się na podmiejskiej drodze z Jasiem, który miał wte-

dy renault 16, w pobliskich Kwiatkowicach. Innego dnia na Piotrkowskiej, trochę przed północą, ścigałem się pomiędzy tramwajami z Andrzeja NSU, ale wtedy właśnie zostałem przyłapany na tym przez cywilnego inspektora drogowego. Volkswagen był dla mnie nie lada zabawką, którą jeździłem przez 3 lata. Żeby było śmieszniej, to sprzedałem go pod koniec studiów właśnie temu inspektorowi, który zatrzymał mnie za przekroczenie szybkości. Przez 3 lata poznałem się z panem inspektorem lepiej, a on sam był zadowolony, gdy zapłacił mi 260 tys. za dobrze utrzymane, ale już trochę starsze auto. Nie zapominajmy jednak, że w tym okresie nie było w Polsce wysokiej inflacji. Dla mnie to też była doskonała transakcja, ale auto sprzedałem, gdy miałem już przed sobą plany wyjazdowe.

Na drugim roku, podczas gdy reszta studentów wkuwała teoretyczne główne przedmioty, nasza grupa też się trochę uczyła, ale tak aby tylko zdać egzaminy. Większość czasu spędzaliśmy na spotkaniach socjalnych, często zresztą w towarzystwie atrakcyjnych koleżanek.

Politycznie byliśmy neutralni, ale raz jeden z nas rzucił pół żartem, pół serio propozycję: „A może byśmy tak dla draki zapisali się do partii?” Reszcie nie trzeba było powtarzać i jako jedyni na roku zostaliśmy wkrótce najmłodszymi kandydatami partii Wydziału Elektrycznego. Oczywiście żaden z nas nie powiedział o tym w domu, wiedząc, że spotkałoby się to z dużą dezaprobatą. My natomiast mieliśmy przez następne parę lat dodatkowy ubaw. Pracownicy naukowci, często po doktoratach, zapisywali się wtedy do partii aby uzyskać docenturę lub lepszą pozycję na uczelni. Takiego braliśmy wówczas w obroty stereotypowymi pytaniami:

– Dlaczego to dopiero teraz, towarzyszu, obudziliście się politycznie: czy to nie z powodu nowego etatu na naszym wydziale? – pytał delikwenta jeden z nas.

A gdy taki pan doktor wiał się jak piskorz z odpowiedzią, następny dawał mu z drugiej strony:

– Wy, towarzyszu, macie dwa razy tyle lat co ja, a dopiero teraz dojrzewacie politycznie, więc proszę wyjaśnić, dlaczego mamy was przyjąć do naszej organizacji?

Niektórzy starsi członkowie partii nie byli z tej naszej „wolno-amerykanki” zadowoleni, ale nic nie mogli zrobić. Natomiast jeden taki przyjmowany doktor, który w przyszłości został naszym wykładowcą, unikał nas jak zimnego ognia i zlecił egzaminowanie naszej grupy któremuś ze swoich kolegów.

Pierwszego maja obchodzono we wszystkich krajach komunistycznych, i także w Polsce, Święto Pracy. Dzień był wolny od pracy, szkoły i zajęć uniwersyteckich, ale wszyscy zdrowi obywatele byli zobowiązani do uczestnictwa w pochodzie. Na początku szli członkowie komitetu, zarządu miasta, a potem po kolei pracownicy fabryk, szpitali, innych zakładów pracy oraz pracownicy, studenci i uczniowie poszczególnych szkół i uczelni. Pochód trwał kilka godzin i przechodził główną ulicą miasta, Piotrkowską. Była to nie lada gratka dla naszej Maryni, która na parapecie okna kładła sobie poduszkę i obserwowała kolorową paradę tych, którzy „musieli” demonstrować. No i później, przy obiedzie, zdawała całej rodzinie sprawozdanie, kto ze znajomych szedł, a kto zapewne się „migał”.

Na Politechnice przed pochodem była sprawdzana lista obecności studentów i pracowników, a dodatkowo ci, którzy mieli pecha, dostawali do niesienia chorągwie. Problem był taki, że chorągwie trzeba było zdać po pochodzie, aby zostały użyte ponownie w następnym roku. Ja się od tego zaszczytu umiałem wymigać. Właśnie w maju 1966 roku przyszło mi iść w pochodzie niedaleko koleżanki z niższego roku, którą poznałem kilka miesięcy wcześniej u wspólnej znajomej. Basia Wilmańska, bo tak nazywała się ta koleżanka, była wzorową i bardzo obowiązkową studentką. Zaczęliśmy rozmawiać i gdy pochód ruszył, zaproponowałem jej spacer po parku. Basia, podobnie jak inni, spodziewała się ponownego sprawdzania listy po pochodzie i ewentualnych konsekwencji,

o ile nie będzie wtedy obecna. Długo musiałem ją mocno przekonywać, że to sprawdzanie to „strachy na Lachy” i przy takim bałaganie nikt nie zauważy naszego zniknięcia. Efekt mojej perswazji był taki, że wymknąłem się do parku Poniatowskiego na pierwszą randkę z moją przyszłą żoną.

Basia mieszkała wraz z rodzicami i dwoma młodszymi siostrami przy ulicy Więckowskiego 70. Jej mama prowadziła prywatną produkcję wyrobów tekstylnych i wszystkie trzy dziewczynki były zobowiązane do pomocy w domu i biznesie. Wkrótce jednak, odkąd zaczęliśmy się spotykać, domowe obowiązki Basi spadły na jej siostry, głównie Anię, która narzekała, że Basia „albo się uczy, albo się włóczy”. Henio nie miał specjalnych obowiązków w domu, a nauka też nie zabierała mu za dużo czasu. Mógł więc poświęcać dużo czasu Basi, a gdy ona się uczyła, grał z kolegami w brydża.

Za doskonale wyniki nauki Basia Wilmańska dostawała stypendium naukowe w wysokości tysiąca złotych miesięcznie, co było nie małą sumą, jeżeli nie miało się wydatków na mieszkanie i jedzenie. Sumienna Basia niemal całą tę sumę odkładała na przyszłość. Ja z kolei, taki trójkowy student, nie mogłem liczyć na żadne stypendia, a tylko na siebie. A wydatki miałem niemałe: benzyna do samochodu, jakiś obiad w restauracji, alkohol czy kino.

Doświadczenia ze szkoły nie poszły jednak na marne. Nie mogłem handlować srebrem, bo źródła się wyczerpały, ze znaczków pocztowych i monet już wyrosłem, więc zająłem się czym bardziej „dorosłym”. Różnica między oficjalnym kursem dolara a jego ceną wolnorynkową była ogromna. Oficjalnie jeden dolar był wart cztery złote, ale na czarnym rynku ten sam dolar kosztował od 100 do 150 złotych. Cena wolnorynkowa potrafiła zmieniać się około 10 proc. w ciągu tygodnia i to dawało okazję do zarobku. Przeciętny obywatel nie miał dostępu do obcych walut i jeżeli chciał kupić jakieś atrakcyjne towary, zaczynając od alkoholi, a kończąc na samochodach, to musiał jakoś zdobyć wymienną walutę za-

chodnią przeliczaną na dolary amerykańskie lub wydawane przez rząd tzw. bony dolarowe. Kupowałem więc te papierki od tych co mieli do nich dostęp, a sprzedawałem potrzebującym. Różnicę zatrzymywałem sobie „za fatywę”. Były to oczywiście transakcje nielegalne i ze względu na istnienie dużej konkurencji w tym „zawodzie” nie zawsze miałem dostawców i klientów.

Przypadkowo natrafiłem jednak na coś bardziej intratnego, gdzie praktycznie konkurencja nie istniała. Była to biżuteria. W latach sześćdziesiątych było w Polsce dużo ludzi, którzy nie mogli ujawnić swoich dochodów, a musieli jakoś zainwestować nadwyżki finansowe. Byli to ogrodnicy, pogardliwie nazywani badylarzami, oraz prywatni właściciele małych zakładów produkcyjnych oraz sklepów, najczęściej galanteryjnych. A gdzie najlepiej schować pieniądze? W tym, czego nie widać, czyli w złocie i w diamentach. Znany mi był producent krawatów, który nie mogąc ujawnić dochodów zamontował w nadwozie warszawy silnik nowego mercedesa. Ludzie z pieniędzmi nie tynkowali nowo zbudowanych wili, aby nie rzuciły się one w oczy. Takie to były czasy!

Wysokiej jakości drogiej biżuterii nie można było oczywiście kupić w rządowym sklepie jubilerskim, gdzie nawet przy zakupie obrączek trzeba było wykazać się poświadczeniem zbliżającej się daty ślubu. Ponadto prawie nikt nie znał się na złocie, diamentach i innych szlachetnych kamieniach. Powoli, jako samouk, poznałem kulisy jubilerstwa i zaprzyjaźniłem się z jednym z dwóch tzw. sądowych rzeczoznawców: panem Marczewskim. Pan Władysław miał mały kantorek, oczywiście przy Piotrkowskiej, niedaleko Grand Hotelu. Tam właśnie odwiedzałem go najczęściej. Miał około sześćdziesiątki, ale mimo różnicy wieku szybko przypadliśmy sobie do gustu, czego wynikiem były duże efekty finansowe dla nas obu. W kantorku pana Marczewskiego był jego portret w przedwojennym mundurze oficerskim, a na drugiej ścianie wisiało zdjęcie, przyćiepione pineską, na którym pan Władysław idzie w pochodzie

obok Gomułki, ówczesnego pierwszego sekretarza partii. Tak za-intrygowały mnie te eksponaty, że musiałem go raz zapytać:

– Panie Władysławie, jak to mogło być, aby były przedwojen-ny oficer był potem tak blisko Gomułki?

– Powiem panu w tajemnicy, ale pan to zrozumie – odpowiedział poufnie Marczewski.

– Ja mam różną klientelę: dla przedwojennej arystokracji i inteligencji kazałem wymalować sobie ten portret, mimo że oficerem przed wojną nie byłem. To na nich robi wrażenie. U tych nowych polityków zdjęcie z Gomułką podkreśla, że mam powiązania tam gdzie potrzeba. A pan, panie Henryku, rozumie, że oba wizerunki są dobre dla interesu i to jest najważniejsze.

I to była pierwsza moja lekcja biznesu w Polsce socjalistycznej. Na drugą lekcję musiałem trochę poczekać.

Obaj z Marczewskim mieliśmy tego samego złotnika, niejaki-go Krzyżanowskiego, który pracował gdzieś w biurze w ciągu dnia, a po godzinach dorabiał sobie, robiąc pierścionki. Złotnictwa nauczył się chyba przed wojną, ale z nieznanych mi powodów nie pracował oficjalnie w tym zawodzie. Kiedyś, gdy odbierałem od Krzyżanowskiego moją robotę, ten zaczął się uskarżać, że pan Władysław „urwał mu” za ostatni pierścionek 50 z obiecanych 350 złotych.

Niedługo potem Marczewski zaproponował mi, abym mu sprzedał ładny diamentowy pierścionek, za który chciał dostać 100 tys. złotych. Po niecałych 5 dniach zadzwoniłem do niego i delikatnie zawiadomiłem o załatwieniu transakcji.

– Panie Władysławie, mam dla pana to, o co pan mnie ostatnio prosił – powiedziałem przez telefon, nie wspominając ani pieniędzy, ani diamentów, bo jak wszyscy wtedy, baliśmy się podsłuchu milicyjnego.

– Wie pan, lepiej będzie, jak zostawię żonę w biznesie, a my porozmawiamy u mnie w domu. Czy może pan wpaść o 4 po południu? – odpowiedział Marczewski.

– Oczywiście, to doskonała godzina. Do zobaczenia – skończyłem szybko rozmowę.

Marczewski mieszkał w bocznej, stosunkowo wąskiej ulicy, odchodzącej od Piotrkowskiej. Z okien domu po przeciwnej stronie można było zobaczyć wnętrze jego mieszkania. Mimo że był dzień, gdy tylko wszedłem do pokoju, pan Władysław zasunął szczelnie zasłony na oknach i włączył światło, żebyśmy mogli coś widzieć. Usiedliśmy przy okrągłym stole w jego jadalni i bez specjalnych ceregieli zacząłem rozmowę:

– Pierścionek sprzedałem, ale nie udało mi się dostać nic ekstra ponad wymaganą sumę. – Wyjąłem z kieszeni plik banknotów, które pan Władysław przeliczył bez słowa, a później zapytał:

– Czy 10 proc. wystarczy dla pana?

– Tak – odpowiedziałem, nie wdając się w dalsze dyskusje.

Marczewski wyjął z kupki 10 tys. i przesunął w moją stronę. Schowałem moją prowizję, ale na zakończenie wizyty zadałem korcące mnie pytanie:

– Panie Władysławie, byłem ostatnio u Krzyżanowskiego, który narzekał, że mu pan urwał 50 złotych: dlaczego pan to zrobił?

– Panie Henryku, tacy jak on nie powinni dużo zarabiać, bo jak on ma za dużo pieniędzy, to zamiast pracować, będzie siedział w fotelu i oglądał telewizję!

I to była dla mnie druga lekcja biznesu: 10 tys. to nie było za dużo dla mnie za parę telefonów i dwa spotkania, ale rzemieślnikowi należy uciąć 50 złotych, bo pieniądze mogą go rozpuścić!

Marczewski był typowym biznesmenem socjalizmu. Chodziły o nim słuchy, że Żydzi w getcie łódzkim nauczyli go jubilerstwa, gdy w czasie wojny woził tam kartofle, a wywoził diamenty. Był jednym z dwóch łódzkich biegłych rzeczoznawców, wyceniających biżuterię dla sądów i stąd miał kontakty ze służbami bezpieczeństwa. Zwierzył mi się raz, że jeden z ubeków przyniósł mu do sprzedaży wielokaratowy diament. Jak się okazało, że diament ten zo-

stał przez oficera ukradziony z depozytu sądowego, to Marczewski miał potem z tego powodu dużo nieprzyjemności.

Na studiach dawałem sobie nieźle radę, mając dużo czasu i więcej pieniędzy niż potrzebowałem. W lecie jeździłem nad morze, a w zimie w góry. Spotykałem się coraz częściej z Basią, która, w przeciwieństwie do mnie, poświęcała dużo czasu na naukę, ale miała też dużo lepsze wyniki. Basia zdawała egzaminy na piątki i zawsze szła przygotowana. Ja starałem się zdać jak najszybciej, żeby mieć jak najwięcej czasu. Jak dziś pamiętam, gdy na trzecim roku po zdaniu rano „maszyn elektrycznych”, najtrudniejszego egzaminu na studiach, spotkałem kolegę, który właśnie szedł zdawać „sieci” i zaproponował, abym poszedł razem z nim. Mnie nie trzeba było dwa razy powtarzać i tak wylądowałem, całkowicie nieprzygotowany, na egzaminie z „sieci”. Egzaminator walcował mnie przez 45 minut i w końcu powiedział:

– Ja naprawdę nie wiem, czy pan zna materiał, czy też nie. No, ale niech pan da indeks.

Myślałem, że już udało mi się zaliczyć, ale on zauważył wpis z „maszyn”, który był na tej samej stronie i z tą samą datą i wtedy szybko skomentował:

– Teraz rozumiem, że pan przyszedł na wariata. To prawie się udało, ale proszę się trochę nauczyć i przyjść jeszcze raz.

Nie byłem zadowolony, ale nie miałem wyjścia. Musiałem się poduczyć i przyszedłem po dwu dniach zdawać „sieci” powtórnie. Tym razem nie było z tym problemu, ale co się najadłem wstydu, to moje.

Na trzecim roku zostałem przewodniczącym ZMS-u, młodzieżowej organizacji „poprawnej politycznie”. Po skończonej kadencji przekazałem pałeczkę następnemu koledze, Warzyńskiemu, z którym przyszło mi pracować za 5 lat w biurze projektów.

W marcu 1968 roku, gdy byłem na czwartym roku studiów, zaczęły się w całej Polsce przeciwustrojowe demonstracje studenc-

kie. Studenci okupywali uczelnie i organizowali marsze, a milicja i służby bezpieczeństwa trenowały na nich swoje „pięści i pałki”. Ministrem Spraw Wewnętrznych był wówczas niesławny Moczar, który ze stolka szefa UB w Łodzi przeniósł się do Ministerstwa Bezpieczeństwa w 1964 roku, a zamieszki studenckie w 1968 roku postanowił wykorzystać do swoich celów politycznych i przejęcia władzy w Komitecie Centralnym. Powszechnie też uważano, że to grupa moczarska rozpętała słynną antysemicką nagonkę w czerwcu tegoż roku.

Nigdy nie lubiłem tłumów i nie chcąc się angażować po żadnej stronie, w momencie największych rozruchów po prostu „zchorowałem”. Nikt nie miał do mnie pretensji, nie oblałem żadnych egzaminów i prawie miałem zaliczony czwarty rok studiów. Z wyjątkiem wojska.



Nigdy niepalący autor, pozuje do zdjęcia ze szkolną tarczą i z papierosem (Łódź, 1964)



Autor, z prawej, na obozie wojskowym
(Jelenia Góra, 1966)



Henryk Jerzy na prywatce (Łódź, około 1962)



Wzory biżuterii odkupowanej od dr. Krzywickiego



Wspominany z łezką volkswagen na tle ogrodu w Rejmontowie (Łódź, 1967)

WOJSKO

Po czwartym roku studiów miałem w okresie wakacji, wraz z resztą studentów mężczyzn, do zaliczenia końcowy obóz wojskowy. Przypadło to nam w jednostce koło Zgierza, mieszczącej się nie więcej niż 40 kilometrów od Łodzi. Nie wiem, czy moja osobowość, czy też wypadki czerwcowe wpłynęły na mnie tak, że wewnątrz stałem się wówczas przeciwnikiem całego systemu politycznego, a wojsko było jego uosobieniem.

Zaraz po zgłoszeniu się do jednostki każdy z nas dostał przydział umundurowania. Na drugi dzień, w czasie porannego apelu, gdy wszyscy dostawali głośne instrukcje, jeden z podoficerów kazał mi wystąpić z szeregu.

– Co, wy sobie jaja z wojska robicie? – wydarł się na mnie i wskazał na moje obuwie.

Otóż wszyscy studenci-żołnierze byli poprawnie ubrani, a tylko ja jeden do pełnego polowego munduru miałem na nogach... sandaalki.

– Obywatelu plutonowy – bo taka była chyba jego ranga, odpowiedziałem, prężąc się na baczność. – Nie było w magazynie mojego rozmiaru butów wojskowych i dlatego noszę cywilne sandaalki.

Zaskoczony plutonowy zaczął przeklinać i wysłał mnie do oficera dyżurnego, aby załatwić sprawę butów. W międzyczasie koledzy zostali dodatkowo musztrowani przez tego zawodowego

podoficera, który nie mógł zrozumieć, żeby w wojsku brakowało odpowiedniej pary butów!

Ja zaś w czasie krótkiej wymiany zdań z oficerem dyżurnym przekonałem go o brakach zaopatrzenia i zaproponowałem, aby wysłano mnie do studium wojskowego w Łodzi, gdzie miałem swoje pełne umundurowanie, włącznie z butami. Po niecałej godzinie wskoczyłem na odjeżdżającą do Łodzi wojskową ciężarówkę, która wkrótce dowiozła mnie do studium wojskowego. Tam odebrałem swoje stare buty, zresztą bardzo wygodne, i już miałem wracać do jednostki, gdy przyszło mi do głowy, że przecież mogę iść do domu na obiad, a przedtem spotkać się ze znajomymi. Zniknąłem więc przez tylne wyjście. Natomiast kierowca wojskowej ciężarówki, po dwóch godzinach czekania na mnie, pojechał z powrotem do jednostki.

Nasza jednostka wojskowa była położona w lesie ogrodzonym metalową siatką zakończoną drutem kolczastym. W niedużych odległościach od siebie były przyłączone do płotu tabliczki z napisami ostrzegającymi przed wstępem na teren wojskowy. Ale już pierwszego dnia, podczas „prywatnej inspekcji” terenu zauważyliśmy dużą dziurę w ogrodzeniu, tuż za naszymi kwaterami. Niedaleko od tej dziury była polanka: idealne miejsce na parking.

Mając więc wcześniejsze rozeznanie terenu wojskowego, zaraz po kolacji wziąłem samochód, którym pojechałem do jednostki. Zaparkowałem na polanie w lesie, zdjąłem cywilne ciuchy, w których byłem w mieście, i jak gdyby nigdy nic zjawiłem się już w mundurze, dzięki dziurze w płocie, na wieczornym apelu. Zrobiła się niemała granda. Dyżurujący oficer zaczął mi wypominać, że przeze mnie wojskowa ciężarówka była „uziemiona” przez pół dnia, pogroził raportem do dowódcy i wysłał „na kwaterę”.

O swoich przygodach powiedziałem w tajemnicy tylko Andrzejowi i Jurkowi, także na wypadek gdyby trzeba było zabrać z powrotem auto, które stało teraz w środku lasu.

Na drugi dzień na apelu porannym dostałem naganę odczytaną w obecności całej jednostki i karę „zakazu opuszczania koszar” przez następne 16 dni. Cały ten dzień musiałem spędzić na zajęciach instruktazowych: nudnych wykładach lub wyczerpujących fizycznie musztrach. W czasie jednego z posiłków doszedł do mnie grupowy partyjny naszego roku, nazwijmy go towarzyszem Kowalskim, i zapowiedział, że moje postępowanie jest niegodne członka partii. Na koniec nie omieszkiał z poczuciem triumfu dogryźć mi:

– No widzisz, teraz gdy w niedzielę wielu z nas zostanie przepustką do miasta, ty będziesz musiał tutaj klinować.

Takich jak towarzysz Kowalski było na roku niemało. Pochodził on ze wsi, za co dostał dodatkowe punkty przy przyjęciu na uczelnię. Mieszkał w akademiku. Oprócz tego miał ograniczone źródła dochodu, prawdopodobnie tylko stypendium fundowane, oraz ograniczone kontakty towarzyskie. Tryb życia zaś, takich jak nasza grupa kłuił go bardzo w oczy. W wyrazie jego twarzy można było odczytać tylko jedno „ja się na was wszystkich kiedyś odegram”.

Inteligencją Kowalski nie grzeszył, więc postanowiłem trochę z niego zakpić:

– A co byś powiedział, jak ja bym dostał przepustkę dużo wcześniej od ciebie?

Nic się na to nie odezwał, ale jego twarz mówiła wszystko: „ja się na tobie odegram”.

Trochę pod wpływem tej rozmowy, trochę za namową kolegów, którzy też mieli dosyć reżimu wojskowego, postanowiliśmy przetestować system wojskowy od razu, następnego dnia. Gdy na porannym apelu prowadzący podoficer krzyknął: „Chorzy wystąp”, wystąpiłem wraz z resztą kolegów naszej grupy. Już wcześniej uzgodniliśmy objawy każdego z nas, tak aby się one nie pokrywały, ale żeby były nie do wykrycia przez miejscowych sanitariuszy.

Jeden z nas symulował zapalenie dziąseł, drugi chorobę weneryczną, a trzeci dolegliwości żołądkowe. W jednostce była izba chorych, którą nadzorował przyuczony sanitariusz-żołnierz. W izolacie mogli przebywać chorzy na grypę lub ktoś ze złamaną kończyną w gipsie. Ale diagnozę mógł postawić jedynie lekarz, a tacy byli w Łodzi, w Wojskowej Akademii Medycznej. Tam też, ku zdumieniu innych kolegów, została wysłana nasza grupa symulantów.

A ja nie omieszkalem oczywiście rzucić wyzywające spojrzenie towarzyszowi Kowalskiemu, które miało oznaczać: „No i kto pierwszy jedzie do miasta?”.

Tym razem wróciliśmy na czas do jednostki, ale zdołaliśmy przedtem zjeść dobry cywilny obiad, odwiedzić nasze sympatie i znajomych. A przede wszystkim odetchnąć wolnością, której nie było w jednostce wojskowej.

Przez następne kilka dni nie udało się nam urwać w ciągu dnia, ale po wieczornym apelu zamiast iść spać uciekaliśmy przez dziurę do zaparkowanego samochodu jednego z nas. A zaraz potem, po przebraniu się w cywilne ciuchy, jechaliśmy na kilka godzin do miasta „na kielicha”. W czasie jednej z takich wypraw, już po przebraniu się, podjechaliśmy pod główną bramę jednostki i „dla hecy” chcieliśmy przetestować oficera dyżurnego, który po apelu jechał do domu. Ja byłem wtedy za kierownicą, z tyłu siedział Jurek, a siedzący obok mnie Andrzej wyszedł z auta i zaproponował wychodzącemu oficerowi:

– Panie poruczniku, może byśmy pana podrzucili do domu? – Wychodzący młody oficer nie załapał w pierwszej chwili, z kim ma do czynienia, bo w cywilnych ubraniach wyglądaliśmy zupełnie inaczej niż w mundurach, ale gdy zrozumiał, że my to właśnie ci, co przed chwilą odbębnieli apel, zgodził się szybko. Zamiast iść pół godziny do tramwaju potem czekać następne 10 minut na tramwaj i człapać się nim następne 20 minut, mógł być w domu w ciągu zaledwie 15 minut. Gdy ten młody podporucznik, może ze dwa

lata starszy od nas, usiadł obok mnie, siedzący na tylnym siedzeniu Jurek wyciągnął półlitrowkę i zaproponował:

– A może byśmy tak strzelili po jednym przed drogą, panie poruczniku?

Wtedy chyba ten oficer trochę się przestraszył, a może powiedział nam prawdę, którą nie za bardzo zrozumieliśmy:

– Wy jesteście fajne chłopaki, ale ja mam żonę i małe dziecko, a jak przyjdę na bani do domu, to będę miał kłopot, więc może innym razem! – Podał mi swój adres i oczywiście bez sprzeciwu odwieźliśmy go do domu, połówkę zaś obciągnęliśmy sami przed powrotem do jednostki. To zdarzenie jednak, być może, zadecydowało później o mojej przyszłości.

Kilka następnych dni przebiegniliśmy na zajęciach wojskowych. W czasie zajęć w polu jeden z dowódców wspomniał o czekającym nas alarmie nocnym. Pamiętaliśmy dobrze, jak w czasie poprzedniego obozu wojskowego w Jeleniej Górze, zaraz po drugim roku studiów, podczas takiego alarmu obudzono nas w środku nocy i w czasie ulewnego deszczu przegoniono po lasach aż do rana. Niektórzy z kolegów zgubili się wtedy i po 6–8 godzinach, głodni i wymęczeni, wracali do jednostki. Tym razem chciałem uniknąć tej poniewierki – ale jak to zrobić?

Z dużą dozą prawdopodobieństwa ustaliłem noc, kiedy miał być alarm i wieczorem przed tą „ imprezą ” zachorowałem! Oczywiście na niby. Zgłosiłem się z „wysoką gorączką” do izby chorych, gdzie oczywiście nie wiadano o zbliżających się manewrach. Dyżurujący tam medyk zapakował mnie do izolatki, dał mi jakieś lekarstwa, które udawałem, że biorę. Tak przeleżałem „chory” przez 3 dni. W tym czasie odwiedzili mnie w izbie chorych koledzy, których, już po alarmie nocnym, nie omieszkałem poczęstować przemyślowanym do izolatki koniakiem.

Największym popisem naszej trójki był jednak jeden dzień, gdy zaraz po porannym sprawdzeniu listy obecności ulotniliśmy

się do miasta i wróciliśmy, już po kolacji, ale jeszcze przed wieczornym apelem. Okazało się, że niedługo po naszym ulotnieniu się towarzysz Kowalski poszedł do dowódcy jednostki i zameldował naszą „ucieczkę”. Około południa zarządzono apel specjalny, na którym nas nie było. Dodatkowym minusem był fakt, że na kilka dni przedtem pożyczyłem z biblioteki wojskowej, tajną instrukcję radiolokacji, która była czasem pomocna w zajęciach teoretycznych.

Gdy zjawilem się, jako pierwszy z naszej grupy, w jednostce, zostałem natychmiast oskarżony o nieobecność w wojsku, bez pozwolenia, przez 8 godzin. Tak to się oficjalnie wtedy nazywało, ale mogło być też interpretowane jako dezercja. Do tego mogłem mieć w tym czasie w posiadaniu tajną instrukcję, która zresztą przez cały czas leżała w mojej szafce. Gdy Jurek i Andrzej zjawili się niedługo potem, dołożono im takie samo oskarżenie. Sprawa zaczęła wyglądać poważnie.

Był to rok 1968. Po marcowych wydarzeniach wielu studentów, nie tylko pochodzenia żydowskiego, wylądowało w karnych jednostkach wojskowych za dużo mniejsze przewinienia. Dlatego też, gdy po sporządzeniu protokołów wysłano nas do naszych kwater, przez kilka godzin tuż przed spaniem ustalaliśmy metodę obrony. Doszliśmy do wniosku, że tylko jakieś dobre wytłumaczenie, choćby najbardziej nieprawdopodobne, ale podtrzymywane przez całą trójkę, może wybawić nas z kłopotu. Przyznanie się do opuszczenia jednostki bez zezwolenia mogło spowodować niezaliczenie stadium wojskowego, a co za tym idzie – powołanie na dwa lata do regularnej służby wojskowej.

Na drugi dzień po tym incydencie, zaraz po śniadaniu, zostaliśmy wywołani na przesłuchanie. Tym razem trzymano nas osobno, a ja jako pierwszy zostałem wezwany do pokoju, gdzie za stołem siedziało trzech oficerów. W środku był dowódca kompanii kapitan Fąfara (tak – on się tak nazywał!), po jego lewej stronie

major do spraw politycznych, a po prawej stronie – podporucznik, którego raz podwoziliśmy do domu.

Po wejściu do pokoju przesłuchań zameldowałem się i stanąłem na baczność przed komisją.

– No teraz przyznajcie się... gdzie byliście... co robiliście... tylko prawda was może uratować!!! – wrzasnął kapitan, waląc pięścią w stół.

Nie będąc przygotowanym na takie ostre przywitanie, odczekałem może z 10 sekund i ze spokojem odpowiedziałem:

– Jeżeli obywatel kapitan jest teraz tak zdenerwowany, to może odłożymy to przesłuchanie na później?

Na parę sekund zapanowała cisza. Kapitan zrobił się na twarzy czerwony jak burak, major parsknął, tłumiąc śmiech, a porucznik odwrócił do tyłu głowę, żeby nie pokazać swojej reakcji. Pierwszy „doszedł do siebie” major i zupełnie spokojnym głosem, jak gdyby nic się nie stało, powiedział:

– Spocznijcie, starszy szeregowy Wieliczański, i powiedzcie, dlaczego nie było was wczoraj na apelu w południe?

– Po prostu uczyłem się z kolegami Retelewskim i Puzdrem do zbliżającego się końcowego egzaminu wojskowego i nie wiedzieliśmy, że był zarządzony apel specjalny – odpowiedziałem ze spokojem.

– Ale przecież na obiedzie i kolacji też was nie było, to gdzie byliście? – tym razem starał się mnie przyprzeć do muru, ale już spokojniej, kapitan.

– Obywatelu kapitanie. Od czterech lat jesteśmy studentami i przyzwyczailiśmy się uczyć czasem przez całą noc przed sesją egzaminacyjną. A w czasie nauki żaden posiłek nie jest taki ważny jak egzamin.

– To dlaczego żaden z was nie słyszał alarmu apelowego? – pchał ofensywnie Fąfara.

– Postanowiliśmy się uczyć w lesie, na terenie jednostki, ale z dała od reszty, żeby nam nie przeszkadzali w nauce – gdy to po-

wiedziałem, zauważyłem po reakcji komisji, że ta odpowiedź nawet przypadła im wszystkim do gustu.

Powoli przesłuchanie przekształciło się w rozmowę, w której wyjaśniłem, że uczyliśmy się z pożyczonej instrukcji, a po zmierzchu powtarzaliśmy materiał. Pod koniec odniosłem wrażenie, że oficerowie jakby byli pod wrażeniem, że ktoś – chyba towarzyszy Kowalski – zrobił z igły widły. Kazali mi odmaszerować i wezwali jednocześnie Andrzeja, do którego mrugnąłem porozumiewawczo, aby trzymał się obranej linii, gdy mijalem się z nim w drzwiach. Następne z kolei przesłuchanie Jurka było już tylko formalnością.

Wynik tej całej akcji zakończył się w miarę pozytywnie. Ja, mając za sobą poprzednią karę, dostałem, tak na wszelki wypadek, 5 dni aresztu wojskowego, a Andrzej i Jurek po 3 dni. Kary te mieliśmy odbyć już po obozie, gdy wszyscy inni zostaną zwolnieni do domów. Oprócz tego zagrożono nam, że o ile nie zdamy końcowego egzaminu – to idziemy na 2 lata do wojska. Ta ostatnia groźba była poważna: nie znaliśmy materiału, a do egzaminu zostało tylko parę dni.

W dniu egzaminów ustawiono kilka stanowisk, każde pod dużym namiotem i w odległości 5–8 metrów od siebie. Pod namiotem znajdował się stół, za którym siedział przepytujący oficer, a miejsce po drugiej stronie było przeznaczone dla jednego z nas, studentów. Na pomoc zewnętrzną, podpowiadanie lub ściąganie, nie można było więc liczyć. Gdy to tylko zobaczyłem, to moim marzeniem było dostać trójkę na szynach, najniższą możliwą zaliczającą ocenę, byle tylko zdać to cholerne wojsko. W takich jednak momentach mózg pracuje jak komputer w Pentagonie. Przepuściłem kilku kolegów i w momencie gdy „mój” podporucznik był wolny – ruszyłem do niego.

– Panie poruczniku, pan jeden wie, że ja nic z tego nie umiem, a od pana zależy, czy mnie wezmą do woja – przyznałem się od razu.

– Wy jesteście dobre chłopaki, dobrze tutaj namieszaliście i będzie was nam brakować – gdy to usłyszałem, ciężar spadł mi pleców.

Mój egzaminator zadał mi jakieś nieznaczące pytanie, tak na wszelki wypadek, aby być krytym i ... postawił piątkę z egzaminu!

Andrzej z Jurkiem też sobie jakoś poradzili i wojo mieliśmy prawie z głowy. Pozostało do odsiedzenia parę dni w pace, ale najważniejsze było za nami.

Na drugi dzień po egzaminie nastąpiło zwalnianie z wojska. Kiedy wszyscy koledzy wyszli już z jednostki, jeden z oficerów wezwał nas i zakomunikował:

– Nie będę was trzymał w żadnej pace, bo są wakacje i mnie też nie chce się tu siedzieć niepotrzebnie, więc zdajcie mundury, pakujcie się ... i do domu!

Nie trzeba nam było tego dwa razy powtarzać. Za 10 minut byliśmy już w zaparkowanym za płotem samochodzie. A po chwili przejeżdżaliśmy koło przystanku, gdzie grupa byłych wojaków, a wśród nich towarzysz Kowalski, czekała na tramwaj.

SAMOTNOŚĆ

Piąty rok studiów zaczął się podobnie jak poprzednie. Jednak po paru tygodniach zorientowałem się, że coś się zmienia wokół nas. Wielu znajomych rodziców z tak zwanym „niepewnym pochodzeniem żydowskim” zaczęło tracić źródła dochodów. Niektórzy na skutek zorganizowanych nagonek zostali oficjalnie usuwani z pracy. Tracili oni posady dyrektorskie, kierowników katedr i pracowników naukowych na uczelniach. Ale to nie ograniczało się tylko do tych na górze. Ci, którzy prowadzili małe biznesy, po kontrolach izb skarbowych musieli zamykać zakłady rzemieślnicze i sklepy. Natomiast młodszy polscy Żydzi, często będący jeszcze na studiach, byli powoływani z uczelni i nie za długo potem dostawali powołania do wojska. Ponieważ w tym czasie nikt nie miał dostatecznych oszczędności, utrata pracy równała się nie tylko z końcem kariery zawodowej, ale także z niemożnością dalszego egzystowania. Stąd też pod koniec 1968 i na początku 1969 roku wielu tych nieszczęśników wyprzedawało swoje mienie i jechało w nieznane: „za granicę”. Ówczesny I sekretarz partii wydał zresztą wówczas polecenie, aby ten „niepewny element” usuwać z kraju. Ludzie ci dostawali często pozwolenie i równocześnie nakaz wyjazdu w ciągu kilku tygodni od złożenia podania. Czas ten starczał zaledwie na zgromadzenie wymaganych biurokratycznych załączników i spakowanie się.

Ojciec mój kończył w tym czasie 65 lat i zaczęła mu przysługiwać spora emerytura. W dalszym ciągu jednak pracował jako or-

dynator w szpitalu. Jak się później dowiedział, pracownicy służb bezpieczeństwa przeprowadzali na jego temat wywiad środowiskowy określając go jako „niepewny element pochodzenia żydowskiego”. Jednak tato nie stracił pracy. Nie wiemy, czy to dlatego, że był emerytem i miał już podstawową bazę materialną, czy też na skutek jego patriotycznej przeszłości w czasie wojny.

Wokół mnie też zrobiło się spokojnie. Życie towarzyskie jakby zamarło. Częściowo można to tłumaczyć tym, że kończyliśmy studia i dużo więcej się uczyliśmy. Wydawało mi się jednak, że niektórzy moi koledzy jakby zaczęli mnie unikać. Pewnego dnia przewodniczący ZMS-u, Jasio Tyburczy, powiedział mi w tajemnicy, że pracownicy SB pytali się o mnie i zażądali, aby teraz zwracać na mnie uwagę i zdawać im raport, bo jestem niepewnym elementem. Podziękowałem wtedy Jasiowi za odwagę, gdyż nie powinien mi być tego przekazać. Powoli zaczynałem rozumieć, że dla mnie w Polsce nie ma miejsca. Zawodowo nie będę mógł dojść do pełnych możliwości, a towarzysko będę musiał stać na uboczu.

To nie pasowało do mojego charakteru. Nie mogłem się pogodzić, że nagle stałem się obywatelem drugiej kategorii. W tej samej sytuacji było tysiące takich jak ja. Urodziliśmy się w Polsce i uważaliśmy się za Polaków. Nie znaliśmy ani tradycji żydowskich ani języka jidysz, nie mówiąc już o hebrajskim. Znaliśmy dobrze język polski i historię współczesną, a wiedząc, co stało się z większością Żydów przed wojną w Niemczech, w czasie okupacji w Polsce i po wojnie w Kielcach – byliśmy przerażeni.

Pochodziłem z bardzo małej rodziny i nie mieliśmy nikogo za granicą. Emigracja do Izraela nie wchodziła w rachubę, gdyż zdawałem sobie sprawę, że skoro w Polsce nie jestem Polakiem, to w Izraelu nie będę Żydem. Moje wiadomości o stylu życia na Zachodzie, wolności słowa i religii były bardzo ograniczone, ale podjąłem decyzję – wyjadę z Polski. Jedyną przeszkodą były moje studia. Miałem półtora roku do egzaminu dyplomowego i uważałem,

że jeżeli wyjadę zaraz, to będę musiał iść natychmiast do pracy w nowym kraju i nie będzie mnie stać na ukończenie studiów. Zdawałem sobie sprawę, że moje wysokie dochody w Polsce są niczym, jeżeli się je przeliczy na standardy zachodnie.

Decyzję podjąłem dosyć szybko. Postanowiłem te półtora roku przetrwać, dostać dyplom i dopiero wtedy wyjechać z Polski. Zakładałem, że nic nie powinno się zmienić w przepisach paszportowych i może później będę musiał poczekać kilka miesięcy zamiast kilku tygodni, ale nie zmarnuję czterech lat nauki. Nie chcąc się więcej wyróżniać, sprzedałem volkswagena i zacząłem jeździć tramwajem. Poświęcałem więcej czasu na naukę, co wyszło mi tylko na dobre przy końcowych wynikach. No i coraz więcej czasu spędzałem z Basią, która jedna rozumiała moją sytuację.

Więcej czasu spędzałem też na kupnie i sprzedaży biżuterii. W tym okresie, gdy wielu Żydów wyjeżdżało z Polski, jedynie biżuteria stwarzała możliwość wywiezienia czegoś wartościowego. Nie wolno było wywozić walut, metali szlachetnych i dzieł sztuki. Socjalistyczny rząd polski pozwalał „dobrodusznie” wywozić jedynie używane rzeczy codziennego użytku. Tak więc wszyscy ci zdeorientowani uchodźcy brali ze sobą meble i ubrania, co było i bardzo drogie ze względu na astronomiczny koszt przesyłek, i niepraktyczne – bo kto wie, w jakim mieszkaniu i w jakim kraju przyjdzie im mieszkać? Ale to było tak pomyślane ze strony rządu polskiego, żeby poprzez te przesyłki wyciągnąć ostatni grosz od wyjeżdżających.

Użytkową biżuterię można było zabierać, pod warunkiem że był to wyrób powojenny. Niestety, w sklepach nie można było kupić biżuterii i prawie nikt nie znał się na diamentach i innych kamieniach szlachetnych. Dlatego jedynym źródłem zakupu byli tacy jak ja. Miałem dobrą reputację, bo sprzedawałem prawdziwe klejnoty i potrafiłem zachować tajemnicę. Dlatego niektórzy, ci mądrzejsi, zamieniali przed wyjazdem u mnie gotówkę na biżuterię.

W tym właśnie czasie poznałem niejakiego pana Krzywickiego, pochodzącego ze znanej przed wojną arystokratyczno-naukowej rodziny. Był on dobrze po pięćdziesiątce, z zawodu doktor chemii, ale z nieznanych mi powodów nie pracujący. Mieszkał z żoną, także doktorem chemii, w niedużym mieszkaniu przy ulicy Narutowicza i nie miał dzieci. Doktor Krzywicki miał za to „tony” przedwojennej rodzinnej biżuterii.

Powoli, sztuka po sztuce, kupowałem jego rodzinne klejnoty. Wiele rzeczy musiałem odsprzedać, aby mieć *cash flow*, ale niektóre „cacka” zatrzymywałem dla siebie. Za pojedyncze sztuki płaciłem od 30 do 120 tysięcy złotych, a gdy je odsprzedawałem, to naliczałem zazwyczaj 50 proc. marży. Jaki śmieszny był ten świat dowiedziałem się za dwa lata, gdy już jako inżynier, dostawałem na stażu pensję miesięczną w wysokości 1600 złotych. Czyli że jedna transakcja biżuteryjna, jeszcze na studiach, przynosiła mi więcej niż cały rok pracy inżynierskiej!!!

Psychicznie byłem jednak gotowy do opuszczenia Polski na stałe.

Gdy byłem na piątym roku, na kilka miesięcy przed wakacjami związki studenckie organizowały wyjazdy za granicę. Żyjąc za żelazną kurtyną, była to dla niektórych jedyna okazja zobaczenia tego „innego” świata. Dla mnie byłoby to także ujrzenie tego, co mnie czeka po wyjeździe z Polski na stałe. Mimo że wycieczki te nie były tanie, chętnych było wielu. Aby jednak zakwalifikować się na taki wyjazd, trzeba było być niezłym studentem, udzielać się społecznie i trochę znać język obcy. Mnie udało się „załapać” na wycieczkę do Wiednia stosunkowo łatwo.

Basia Wilmańska też chciała wyjechać w czasie tych wakacji do Paryża, ale mimo że była piątkową studentką, sekretarz partii Wydziału Elektrycznego, niejaki Lesiński, który niedawno dostał tak zwaną docenturę marcową, napisał na jej podaniu „nie popieram”. Pamiętam, jak zrozpaczona Basia pokazała mi podanie z tą uwa-

gą, co w zasadzie przekreślało jej całe starania. Musiałem się trochę zastanowić i po chwili zaproponowałem Basi napisanie następnego podania. Na drugi dzień umówiłem się z Lesińskim na rozmowę. Nie mając żadnych nieprzyjemności ze strony organizacji partyjnej przypuszczałem, że Lesiński nie wiedział wówczas o moim pochodzeniu.

– Towarzyszu Lesiński – zacząłem więc bez żadnych oporów.
– Barbara Wilmańska jest chyba najlepszą studentką na roku, nie jest absolutnie podejrzana politycznie, a wy się sprzeciwicie jej wyjazdowi do Francji – dlaczego?

Lesiński znał mnie z zebrań, wiedział, że jestem „pyskaty”, w dalszym ciągu popularny wśród studentów, więc nie chciał ze mną zadzierać.

– Ależ ja się nie sprzeciwiam – powiedział, jakby się trochę broniąc. – Ja po prostu nie mogę poprzeć jej podania, bo Wilmańska nie udziela się nigdzie społecznie.

– Jeżeli się nie sprzeciwicie, to napiszcie, towarzyszu, że się nie sprzeciwicie i nie będzie problemu – przyparłem tego, nie za bardzo elokwentnego docenta marcowego.

– Chętnie bym to zrobił, ale podanie już oddałem i w związku z tym nic nie da się już zrobić – skwitował Lesiński.

– Jeżeli się towarzyszu nie sprzeciwicie, to jest proste rozwiązanie – powiedziałem, wyciągając oba pisma. – Napiszcie na nowym podaniu, że się nie sprzeciwicie, a stare podrzemy za chwilę razem – już teraz miałem go na widelcu.

Tak więc I sekretarz nie mogąc ponownie utracić twarzy, napisał „nie sprzeciwiam się” i podpisał się na nowym podaniu, co umożliwiło Wilmańskiej wyjazd do Paryża za kilka tygodni.

Już wtedy planowaliśmy z Basią wspólne życie i wyjazd z Polski na Zachód.

W momencie gdy ona była w Paryżu, ja byłem w Wiedniu. Basia miała za sobą 4 lata studiów, a ja 5. Mnie brakowało tylko pół

roku do skończenia studiów magisterskich więc zdecydowaliśmy, że skończymy studia i wtedy wyjedziemy. Najpierw ja, a potem ona. Nie mając żadnej rodziny za granicą, nie mając żadnego zaplecza finansowego w wolnym świecie i nie wiedząc, że moglibyśmy skończyć studia tam, zdecydowaliśmy się na skoczenie ich w Polsce i wyjazd po dyplomie.

A to był największy błąd w moim życiu, który kosztował mnie i Basię 6 lat życia i masę nerwów.

Zanim jednak wyjechałem do Wiednia, musiałem, podobnie jak i reszta studentów zaliczyć tak zwaną specjalistyczną praktykę w jednym z miejscowych zakładów pracy. Praktyka ta była ostatnim podrygiem naszej studenckiej grupy. Zgłosiliśmy się do Łódzkich Zakładów WYROBÓW Gumowych na początku lipca. Było nas czterech: oprócz Andrzeja i Jurka dołączył do nas, o ile dobrze pamiętam, Wojtek Ciepłiński. Wojtek był synem inżyniera elektryka i zawodowo kontynuował tradycje rodzinną. Często też dołączał do naszej grupy. Po przedstawieniu się opiekunowi praktykantów, majstrowi w przydzielonym nam zakładzie produkcyjnym, postanowiliśmy po krótkiej z nim rozmowie „skrócić” sobie miesięczną tam pracę. Ponieważ majster okazał się „swoim człowiekiem”, więc zaraz po zapoznaniu się poczęstowaliśmy go „kielichem”. Tak się złożyło, że gdy Jurek z Wojtkiem trochę z nim rozmawiali, ja z Andrzejem pojechaliśmy po alkohol. Jednak przed przyjściem z powrotem obaj zjedliśmy coś po drodze... i to nas uratowało. Kupiliśmy dwie półlitrowki spirytusu i największym problemem było opróżnienie do połowy tej pierwszej, aby potem móc dolać wody i pić już około 45 proc. wódkę. Ale nie przynieśliśmy żadnej zagrychy. Całe spotkanie trwało kilka godzin, po których majster, Jurek i Wojtek byli kompletnie pijani. Nam z Andrzejem też niewiele brakowało, ale ta przekąska po drodze złagodziła działanie alkoholu. Efekt tego spotkania był taki, że w jedno popołudnie „zaliczyliśmy” miesięczną praktykę, a cały lipiec mieliśmy potem dla siebie.

W następnym roku akademickim napisałem pracę magisterską, którą obroniłem w środę, 1 kwietnia 1970 roku. Czasem się zastanawiałem, pół żartem, pół serio, czy to *prima aprilis* nie splatał mi figla, ale nie miałem wyboru daty.

Zaraz potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Dwa dni po końcowym egzaminie dostałem w ambasadzie holenderskiej promesę wizy do Izraela. Poza tym musiałem zgromadzić wiele wymaganych papierków:

1. Zaświadczenie, że jestem rezerwistą i nie podlegam obowiązkowej służbie wojskowej.
2. Papierek z uczelni, że nie pobierałem żadnego stypendium w czasie studiów.
3. Zaświadczenie z Wydziału Lokalowego, gdzie mieszkałem.
4. Potwierdzenie z Wydziału Zatrudnienia o zapłaceniu 45 tys. złotych za studia (wpląciłem tę sumę natychmiast, mimo że była to dobra roczna pensja).
5. Potwierdzenie z biura podróży „Orbis” o pokryciu kosztów podróży.
6. Odpis aktu urodzenia ojca potwierdzający jego żydowskie nazwisko i pochodzenie.
7. Podanie o zrzeczenie się obywatelstwa polskiego.

To ostatnie zostało podpisane w obecności oficera bezpieczeństwa w Biurze Paszportowym, gdy składałem podanie. Mimo że było to niezgodne z międzynarodowymi przepisami, tacy jak ja wyjeżdżali z Polski jako bezpaństwowcy bez żadnych praw. Pozbawiano więc tych uchodźców przyszłych emerytur, praw majątkowych i wielu innych praw przysługujących obywatelowi kraju.

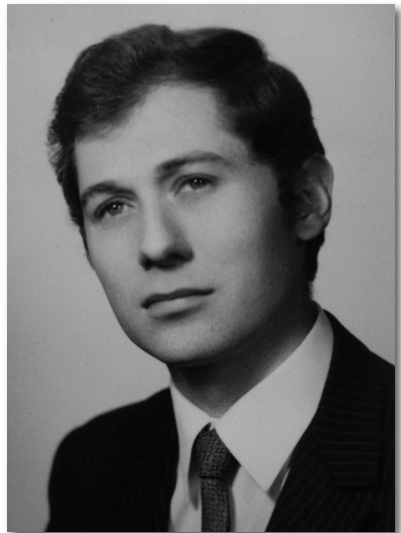
Zgromadzenie tych papierków w biurokratycznej Polsce zabrało parę tygodni. W międzyczasie oddałem I sekretarzowi na uczelni moją legitymację partyjną, rezygnując jednocześnie z członkostwa. Co było ciekawe – większość studentów kończących studia i absolwentów wydziałów inżynierskich zapisywała się w tym

czasie do partii w oczekiwaniu zrobienia lepszej kariery zawodowej. Ja zaś postępowałem odwrotnie. Zapisalem się do partii będąc na drugim roku, trochę z ciekawości, trochę z przekonania. Teraz, na pewno z przekonania, wypisywałem się z tej organizacji, która pośrednio złała mi życie.

24 kwietnia 1970 roku złożyłem wielostronicowy kwestionariusz – podanie o wydanie paszportu na stały wyjazd z kraju urodzenia, wraz z wyżej wymienionymi załącznikami.



Basia Wilmańska w okresie zapoznania autora
(Łódź, 1966)



Henryk Jerzy w czasie zmagania z władzami
(Łódź, 1972)

PRZEPYCHANKA

Zdawałem sobie sprawę, że może nie dostanę pozwolenia natychmiast, gdyż według oficjalnych przepisów Wydział Paszportowy miał 3 miesiące na wydanie mi odpowiedzi. Ale w głębi duszy liczyłem, że tak jak innych niecały rok temu, mnie też wyrzucą z Polski w ciągu kilku tygodni.

Nie było sensu podejmować jakiejkolwiek pracy, gdyż prywatnie nie miałem możliwości zatrudnić się w swoim zawodzie, zaś podjęcie pracy w jakimkolwiek zakładzie państwowym mogłoby blokować wyjazd. Po prostu nie chciałem ryzykować, ponieważ okres wymówienia z pracy mógłby być dłuższy niż czas, który będzie mi dany na opuszczenie Polski. Wiedziałem z opowiadań, że niektórzy starający się o wyjazd do Izraela w 68 roku dostawali po kilku dniach od złożenia podania tylko parę dni na opuszczenie Polski.

Zająłem się przygotowaniem do wyjazdu: zgromadzeniem dokumentów, ubrania, adresów znajomych i organizacji mogących mi ułatwić pierwsze kroki na Zachodzie i przede wszystkim wstępnym pożegnaniem się z rodziną i znajomymi. Będąc między młotem i kowadłem, w ogóle nie brałem pod uwagę wyjazdu do Izraela. Mając matkę nie-Żydówkę mógłbym tam być nie akceptowany, tak jak w Polsce zacząłem być już gorzej traktowany za względu na żydowskie pochodzenie ojca.

Zacząłem dużo czytać o imigracji do innych krajów i dlatego postanowiłem zabezpieczyć sobie „tyły” na wypadek niemożno-

ści otrzymania pracy w swoim zawodzie. Słyszałem o wielu przypadkach, gdy imigranci nie mieli uznanych dyplomów i musieli zadowolić się gorszymi pracami. Poszedłem więc w termin do znajomej pani, która miała prywatny zakład optyczny. Tam nauczyłem się podstawowych prac związanych z oprawą okularów. Spędziłem też kilka tygodni u mojego złotnika, gdzie nauczyłem się od podstaw napraw i produkcji pierścionków. Co było ciekawe, że pierwszy pierścionek, który sam zrobiłem, sprzedałem od ręki, mimo że nie był on za dobrze zrobiony.

Korupcja kwitła w tym czasie w Polsce na całego. Żeby kupić kawałek schabu lub szynki trzeba było znać kierowniczkę sklepu mięsnego. Na mieszkanie i podłączenie telefonu czekało się 10 do 20 lat, ale po znajomości wiele rzeczy można było załatwić wcześniej. Rzemieślnicy płacili mniejsze podatki, jeżeli zapłacili łapówkę urzędnikowi. Kupno lodówki lub modnego płaszcza wiązało się z dodatkowymi zabiegami. Wyjazd na wczasy lub do sanatorium był zawsze związany z koniakiem dla osoby decydującej.

Znając ówczesny system, z którego zresztą korzystałem w przeszłości przy zakupie volkswagena i wielu innych okazjach, postanowiłem trochę pomóc losowi i poszukać dojścia w Wydziale Paszportowym. Na oddziale internistycznym szpitala imienia doktor Heleny Wolf, gdzie mój ojciec był ordynatorem, pracowała pielęgniarka, niejaka pani Wróblowa. Nikt nie wiedział o tym oficjalnie, ale były słuchy, że jej mąż jest oficerem służby bezpieczeństwa. Dlatego też niedługo po złożeniu papierów przyszedłem do ojca do pracy i postanowiłem porozmawiać z panią Wróblową. Jak się dowiedziałem później, po 30 latach, z teczek udostępnionych mi przez Instytut Pamięci Narodowej, rozmowa ta była całkowitym niewypałem i może nawet zaszkodziła mi w przyszłości. Okazało się, że porucznik M. Wróbel był zastępcą naczelnika Wydziału III Komendy Milicji, kooperującego z Biurem Paszportów.

Pan porucznik przestraszył się moją rozmową z jego żoną do tego stopnia, że wysłał tajną notatkę służbową do swoich przełożonych, koloryzując trochę tę konwersację. Napisał on, że młody Henryk Wieliczański zamierza wyjechać „do USA, gdzie jako inżynier chce się urządzić”. Nie wiem też, skąd dowiedział się on o Basi, ale w notatce tej jest także zdanie że, Wieliczański „jeżeli tylko uzyska zezwolenie, to się ożeni, a wtedy Barbara Wilmańska jako jego żona będzie mogła razem z nim wyjechać”. No cóż, może Wróbel dostał za to pismo promocję, a ja myślałem, że lepszy wróbel w garści niż jastrząb na dachu.

Podjąłem czasową pracę. Licząc się z tym, że niedługo wyjadę zatrudniłem się jako elektryk w spółdzielni zajmującej się wykonywaniem pomiarów uziemienia silników i transformatorów. Pracę tę traktowałem jako przejściową, a co najważniejsze, w przypadku otrzymania pozwolenia na wyjazd mógłbym się zwolnić praktycznie z dnia na dzień. Dawała mi ona zajęcie w ciągu dnia, tak że mogłem psychicznie odpocząć od myślenia o wyjeździe.

Podświadomie jednak przez cały czas czekałem na pozwolenie opuszczenia Polski. Pod koniec lipca, dokładnie po 3 miesiącach, przyszedł polecony list. W środku był załączony świstek papieru o wymiarach 20 x 15 cm datowany 27 lipca 1970 roku. Nie wierząc własnym oczom przeczytałem: „Komenda Milicji Obywatelskiej w Łodzi zawiadamia, że decyzją Biura Paszportów i Dowodów Osobistych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wydaną na podstawie art. 4 ust. 2 pkt 5 ustawy z dnia 17 czerwca 1959 roku... podanie... zostało załatwione odmownie”. Na dole był jakiś nieczytelny podpis i uwaga, że od decyzji tej mogę się odwołać w ciągu 14 dni od otrzymania tego pisma.

Czytałem te kilka zdań chyba z 10 razy. Nie miałem pojęcia, co było w ustawie z 1959 roku i na jakiej podstawie dostałem odmowę, szczególnie że po 1968 roku właśnie to Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zdecydowało się usuwać takie niepewne elemen-

ty jak ja z pracy i z kraju. Ale co to 3 miesiące, poczekam następne i zabrałem się do pisania odwołania. Po 3 dniach od otrzymania odmowy napisałem odręcznie odwołanie i... znowu czekałem. Niestety biurokratom ubeckim nigdy się nie spieszyło i zabrało im następne 3 miesiące, żeby mi odpowiedzieć... odmownie. Znowu bez żadnych wyjaśnień, na podobnym papierku był podany ten sam artykuł tej samej ustawy i uwaga że jest to ostateczna decyzja w trybie administracyjnym. Na dole nieczytelny podpis, który zidentyfikowałem po 30 latach jako należący do pułkownika Bronisława Jarmuła, Naczelnika III Wydziału MSW.

Nie pozostawało mi nic innego jak odwołać się wyżej. W połowie listopada napisałem pismo do Biura Skarg MSW w Warszawie. Do mojej skargi dołączony był list moich rodziców adresowany do Ministra Spraw Wewnętrznych opisujący rodzinną tragedię w czasie wojny jak i w okresie tuż przed napisaniem tego listu. Otóż niedługo przed tym momentem moja siostra, będąca już matką dwojga dzieci, próbowała popełnić samobójstwo, a ja sam byłem kłębkiem nerwów. Moi rodzice, niemłodzi już, gdyż ojciec miał wówczas 67, a matka 55 lat, nie tylko wyliczyli w tym liście swoje zasługi dla Polski, ale dla dobra całej rodziny błagali o wypuszczenie mnie z Polski.

Efektem tej skargi był tajny list, o którego istnieniu dowiedziałem się wiele lat później, zastępcy Dyrektora Gabinetu Ministra MSW datowany 29 grudnia 1970 roku, i skierowany do Dyrektora Biura Paszportów pułkownika M. Glanca. W liście tym czytamy, że „biorąc pod uwagę motywy podane w odwołaniu zainteresowanego, oraz że w tej sprawie również zwraca się jego ojciec Henryk Wieliczański b. więzień Majdanka i Oświęcimia oraz b. uczestnik partyzantki – obecnie lekarz, ordynator Oddziału Chorób Wewnętrznych Szpitala im dr H. Wolf w Łodzi, Gabinet Ministra uważa, że można by sprawę załatwić pozytywnie”.

Niestety, następnym dokumentem w mojej teczkę Biura Paszportowego był wypełniony druk: „Wniosek w Sprawie Zmiany De-

cyzji Paszportowej” z adnotacją: „Komisja w dniu 9.03.1971 nie wyraziła zgody na wyjazd”. Pieczętka naczelnika i nieczytelny podpis tego samego płka Jarmuła. Ani me, ani be, ani kukuryku!! Nie wiadomo, kto był w komisji i jakie argumenty były używane: po prostu głuchy telefon. O istnieniu tej notatki dowiedziałem się dopiero 38 lat później.

W maju tegoż roku moje akta zostały przesłane do Gabinetu Ministra MSW i powróciły do Łodzi na początku września – ileż to osób miało w tym czasie z mojego powodu zajęcie?

Nie wiem, czy to przypadkowo, czy też na skutek „interwencji” Łódzkiej Służby Bezpieczeństwa w końcu roku dostałem wezwanie do stawienia się w jednostce wojskowej w Jeleniej Górze. Po skończeniu Studium Wojskowego dostałem szacowny stopień kaprała podchorążego i zarazem zostałem przeniesiony do rezerwy. Jednak niektórzy pechowcy dostawali takie wezwania jak ja. Regułą było wezwanie takiego absolwenta Politechniki do jednostki, awansowanie go na oficera i zatrudnienie jako wykładowcy w Szkole Oficerskiej. Wyboru ów delikwent nie miał żadnego: minimum dwa lata obowiązkowej służby, a może dużo więcej. Moje wezwanie było do Oficerskiej Szkoły Radiolokacji, jedynej chyba poza Sowietami takiej jednostki w krajach Paktu Warszawskiego. Stawienie się tam równałoby się z pozostaniem na zawsze za żelazną kurtyną ze względu na dostęp do tajnych dokumentów i urządzeń wojskowych.

Wezwanie zostało mi doręczone osobiście i miałem zjawić się w Jeleniej Górze w ciągu pięciu dni. Za niespełnienie tego warunku groził Sąd Wojskowy i poważne kary więzienia. W domu zapanała panika.

Długa nocna dyskusja dała jednak jakieś źródło ratunku: otóż stan zdrowia mógłby mnie ochronić od tej, cynicznie nazywanej, szacownej służby wojskowej. Do tej pory miałem jednak kategorię „A”, czyli byłem zdolny do pracy w wojsku bez żadnych ograniczeń.

W Łodzi była jedna z dwóch polskich Wojskowych Akademii Medycznych. Znalazłem jakiś przepis, który pozwalał mi na dodatkową komisję lekarską właśnie w tejże Akademii Medycznej. Dostałem termin odroczenia stawienia się w wojsku do czasu decyzji wojskowej komisji lekarskiej. Przed komisją stanąłem już przygotowany. Miałem pisma podpisane przez cywilnych lekarzy: docent Dziobową, która znana była z tego, że leczyli się u niej katolickcy biskupi i cały wyższy łódzki kler, oraz profesora Musiała, dobrego znajomego rodziców. Według oświadczeń tych reputowanych lekarzy miałem „wrodzona wadę serca pod postacią ubytku w przegrodzie przedsionkowej”.

Teraz należało tylko przekonać lekarzy wojskowych. Wiadomo było powszechnie, że jeżeli chodzi o poziom naukowy, to lekarze cywilni byli wówczas dużo wyżej notowani niż wojskowi. Z drugiej strony była niepisana umowa o niepodważaniu opinii kolegów w tym samym zawodzie. Jeżeli do tego dodamy fakt, że w tym okresie nie było skomplikowanych testów w postaci MRI, to już przed komisją moje szanse na stanie się niezdolnym do woj-ska oceniałem na jakieś 60 proc.

Pozostałe 40 proc. zależały jednak od komisji wojskowej. W wyznaczonym dniu zjawiłem się na badania. Byłem jednym z tuzina takich, którzy starali się o uznanie ich za „inwalidów” wojskowych. Badanie przez komisję trwało kilka godzin. Byliśmy po kolei sprawdzani przez wielu specjalistów. Finał rozegrał się przed trzema internistami, siedzącymi za długim, poprzecznie ustawionym stołem. Dwóch z nich było w stopniu pułkownika, a trzeci, o ile pamiętam, był majorem. Nie znałem ich nazwisk, ale przypuszczam, że wszyscy byli po doktoracie i musieli mieć poważne stanowiska w Wojskowej Akademii Medycznej. Na parę minut przed tym badaniem poszedłem do toalety, aby wykonać maksymalną ilość przysiadów no i nawdychać się trochę dymu papierosowego, tak na wszelki wypadek.

Gdy stanąłem przed komisją, to pokazałem im zaświadczenia od cywilnych lekarzy i odpowiedziałem na stereotypowe pytania: co mi dolega, od kiedy i jak często miewam jakieś objawy. Oczywiście byłem dobrze poinstruowany przez ojca, jak odpowiadać na pytania i jak się zachowywać. Po wstępnej dyskusji jeden z lekarzy zabrał się do badania, które trwało nie więcej niż minutę. Posłuchał przez słuchawkę klatki piersiowej, pleców, kazał odkasznąć ze dwa razy i wrócił za stół do kolegów. Potem kazał mi się ubrać i wrócić z powrotem przed stół „prezydialny”. W czasie gdy się ubierałem w drugiej części pokoju, widziałem, jak wszyscy trzej coś do siebie szepotali. Gdy zjawiłem się przed nimi ponownie, siedzący w środku przewodniczący komisji lakonicznie poinformował mnie o decyzji:

„Potwierdzamy waszą wadę serca, a o przyszłej przynależności do służby wojskowej zostaniecie powiadomieni pisemnie.”

W myślach podskoczyłem do sufitu. Taka decyzja mogła oznaczać tylko jedno: zakwalifikowanie mnie do kategorii „D”, czyli niezdolnego do służby wojskowej w czasie pokoju. Zachowałem się jednak spokojnie. Ponieważ byłem w ubraniu cywilnym, więc nie robiłem żadnych cyrków z salutowaniem, tylko podziękowałem im za poświęcenie mi czasu i pożegnałem się.

Oficjalne zawiadomienie dostałem wkrótce. Zdawałem sobie sprawę, że miałem niebywale szczęście, któremu oczywiście pomógł mój ojciec i kilku innych życzliwych ludzi. Bardzo rzadko się zdarzało, aby w wojsku ze zdrowotnej kategorii A zlecieć do kategorii D. Normalnie miało to miejsce tylko po jakiś urazach wypadkowych lub po przebyciu ciężkich chorób.

W ogólnej skali była to wygrana bitwa, ale wojny, jak na razie, nie mogłem wygrać. Trzeba było starać się ponownie o wyjazd z kraju. 10 lipca 1971 złożyłem kolejne podanie o wyjazd, oczywiście z nowymi załącznikami.

Data ta jest o tyle ważna, gdyż trzy dni później pobrałem się z Basią Wilmańską. Dowiedziałem się nieoficjalnie, że pewni pra-

cownicy Służb Bezpieczeństwa, którzy mają do mnie zastrzeżenia, będą na urlopie w lipcu i dlatego w tym czasie mam duże szanse na dostanie pozwolenia na wyjazd. W ówczesnej Polsce nawet na ślub czekało się wiele tygodni. My chcieliśmy się pobrać zaraz po złożeniu przeze mnie podania ale przed wydaniem decyzji. O ile dostałbym szybko pozytywną decyzję, to nawet po moim wyjeździe Basia musiałaby też uzyskać pozwolenie na wyjazd do męża. Były to nasze spekulacje oparte na prawach istniejących w normalnych, praworządnych krajach. Polska, niestety, do nich nie należała.

Postanowiliśmy więc działać jak najszybciej. Nie chcąc czekać na odległą datę ślubu, uciekliśmy się z Basią do małego podstępu. Jeżeli przyszła mężatka była w ciąży, to urząd miasta mógł udzielić ślubu w ciągu paru dni, a nie po wielu tygodniach czekania. Wykorzystaliśmy tę możliwość i, po uzyskaniu odpowiedniego zaświadczenia od znajomej pani ginekolog, zawarliśmy ślub 13 lipca. Nie było żadnej pompy, żadnych znajomych z wyjątkiem życzliwego nam, mieszkającego niedaleko krawca rodzinnego, pana Zakliki. Ślub zawarliśmy w Urzędzie Stanu Cywilnego w pasażu między Piotrkowską a alejami Kościuszki, prawie naprzeciwko mojego dawnego mieszkania.

Po krótkiej ceremonii był mały obiad u moich rodziców. Obecni byli rodzice i moja siostra, Basi mama i jej siostry oraz będący przypadkowo w Polsce przyszły szwagier z Holandii. Do niewesołej atmosfery wyizolowania społecznego i presji wyjazdowej dołożył się w czasie ślubu fakt, że Basi ojciec na kilka dni przed naszym ślubem miał wypadek samochodowy i leżał nieprzytomny w szpitalu. Mój teść Kazimierz Wilmański, mimo że ukończył przed wojną szkołę dyplomatyczną w Belgii i znał biegle kilka języków, zajmował zaledwie średnie stanowisko w Centrali Handlu Zagranicznego w Łodzi, gdyż nie był członkiem nomenklatury. Z racji swojej pracy jeździł jednak często do Warszawy i właśnie w czasie jednego z takich wyjazdów miał czołowe zderzenie z ciężarówką. Jadący

z nim współpracownik zginął na miejscu, a Basi ojciec został po tym wypadku inwalidą do końca życia.

Żona wiele razy mówiła mi później, że brakowało jej tradycyjnego ślubu z dużą liczbą gości, orkiestrą i szalową suknią. Taki właśnie ślub miała moja siostra, ale mimo tego rozwiodła się po 5 latach. My z Basią mieliśmy z kolei razem ciężkie przeżycia zarówno w Polsce, jak i na początku emigracji. A to trzymało nas razem. Po ślubie zamieszkaliśmy razem w mieszkaniu moich rodziców, ale dzięki zaradnej teściowej, która już wcześniej przedpłaciła na własnościowe mieszkania dla swoich córek, po sześciu miesiącach przeprowadziliśmy się do własnego M-3. Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, że mamy przed sobą kilka ciężkich lat w Polsce. Tymczasem w końcu października dostałem kolejną odmowę na wyjazd, od której odwołałem się w ciągu tygodnia. Ponieważ nieoficjalnie zostałem powiadomiony, że odmowy dostawałem, gdyż moi rodzice nie starali się o wyjazd ze mną, stwierdziłem w odwołaniu, że po moim wyjeździe ojciec i matka będą się także starali o wyjazd na stałe. Oboje rodzice podpisali się pod moim odwołaniem. Ale to nic nie pomogło.

Mając ponadroczne doświadczenie z Urzędem Paszportowym, zacząłem szukać innych możliwych „dojść”, które umożliwiłyby nam dostanie pozwolenia na wyjazd. Większość ludzi pracujących w milicji, a szczególnie w służbach bezpieczeństwa była, odizolowana od reszty społeczeństwa. Mieli oni swoje bloki mieszkalne, sklepy i nawet „swój” piękny szpital mieszczący się przy ulicy Północnej. Niektórzy z nich utrzymywali jednak kontakty z resztą społeczeństwa. Niejaki mecenas Korzyk, radca prawny Łódzkiej Komendy Milicji, był równocześnie dobrym znajomym moich teściów. Gdy mama Wilmańska raz poprosiła go o nieoficjalną „interwencję”, obiecał pomóc. Jednak po zaledwie kilku dniach zreferował swoje zabiegi jednym zdaniem: „Nie da się nic załatwić młodemu Wieliczańskiemu. On ma opinię bardzo wygadanego

i jest możliwe, że po otrzymaniu zgodny na wyjazd pójdzie do Radia Wolnej Europy i będzie szkalował Polskę”.

Po takim zreferowaniu sprawy obie rodziny, Basi i moja, były bardzo przygnębione. Nie wiedziałem, czym zasłużyłem sobie na takie traktowanie, i zacząłem się coraz bardziej bać, żeby przez jakąś prowokację nie wsadzili mnie do więzienia. Coraz bardziej byłem przekonany, że moje powołanie do wojska to była „robota” SB. Co teraz wymyślą? Zdawałem sobie sprawę, że blokują mnie ludzie w Łodzi, i rozważałem nawet przeprowadzenie się do innego miasta, gdzie o mojej przyszłości decydowałby ktoś inny. Postanowiliśmy jednak zostać w Łodzi, gdyż takie przenosiny nie byłyby łatwe. Istniał wówczas tak zwany „niedosyt mieszkań”, więc znalezienie lokum w innym mieście byłoby pierwszą przeszkodą. Drugą – niepewne zatrudnienie dla nas obojga. No i stracilibyśmy poparcie obu naszych rodzin, które mieszkały w Łodzi. A gwarancji nie mieliśmy, że przenosiny coś zmienią.

W listopadzie 1971 roku złożyłem odwołanie, na bazie poprzednich papierów, o wyjazd bez żony. Nic nie udało się załatwić w ciągu lata, a gdy „służby” dowiedziały się o naszym ślubie, zażądały od Basi oświadczenia, że jako żona zgadza się na mój wyjazd do Izraela. Nieoficjalnie Basia została powiadomiona, że w Izraelu będzie ona, jako nie-Żydowka, prześladowana i nie powinna się zgodzić, będąc żoną, na mój wyjazd. Mimo presji Basia przedstawiła notarialnie poświadczony oświadczenie, że wyraża zgodę na mój wyjazd.

Mając aktywny charakter, nie mogłem pozwolić sobie na bezczynne czekanie na, prawdopodobnie odmowną, ponowną odpowiedź. Postanowiłem działać. Nie pamiętam, jak załatwiłem sobie audiencję u szefa SB, ale jakoś mi się udało. Było to późną jesienią 1971 roku. Zjawiłem się w „wilczej jamie”, czyli Komendzie Miejskiej MO przy ulicy Sienkiewicza. Po wstępnym zarejestrowaniu się przy wejściu zostałem personalnie eskortowany do gabinetu Henryka Bilskiego. Pułkownik Bilski, ten stary ubek, były zastępca niesławnego Moczara, mógł mieć w czasie naszego spo-

tkania około 60 lat. Siedział za ogromnym biurkiem, do którego był dostawiony pod kątem prostym długi stół konferencyjny, na którego końcu kazał mi usiąść. Dzieliła nas odległość całego stołu i jego biurka, nie mniej niż 5 metrów. Nie wiem, czy w czasie rozmowy był ktoś inny obecny za mną, bo się nie odwracałem, ale było to całkiem możliwe.

Bilski został dokładnie poinformowany o mojej sprawie przed spotkaniem i natychmiast, po tym jak usiadłem, bez żadnych ceregieli walnął ręką w biurko i donośnym głosem tak mnie przywitał:

– Co wy sobie wyobrażacie! Polska Ludowa was wykształciła, a wy zamiast być wdzięcznym i budować nasz kraj, to chcecie wyjechać i na dodatek zabieracie czas naszym oficerom! – tutaj zrobił przerwę, czekając na moją odpowiedź.

– Panie pułkowniku – odezwałem się spokojnie. – Sprawa nie zawsze wygląda tak, jak jest przedstawiona w dokumentach. Jeżeli chodzi o wykształcenie, to mój ojciec, który ukończył medycynę w kapitalistycznej Polsce, przyczynił się do wykształcenia wielu lekarzy w Polsce powojennej, a ja zgodnie z przepisami za swoje studia zapłaciłem. A w sprawie wyjazdu chciałem właśnie u pana interweniować.

– No to o co wam chodzi? – znowu podniesionym głosem zwrócił się do mnie, używając drugiej osoby.

– Ja wiem, że pan pułkownik może przycisnąć guzik i posłać mnie kilka pięter na dół do aresztu, ale przecież nie o to chodzi, więc proszę wysłuchać mojej skargi.

Bilski przytaknął głową, abym mówił dalej.

W ciągu niecałych 10 minut powiedziałem mu, że zdecydowałem się na wyjazd ze względu na wypadki pomarcowe. Nie zamierzam być obywatelem drugiej kategorii w kraju urodzenia. Po tym, co się wtedy stało, wielu moich kolegów wyjechało z kraju. Ja zaś już nigdy nie będę mógł, i nie chcę, pracować wydajnie dla systemu, który mnie tak traktuje ze względu na pochodzenie. W dodat-

ku jego służby szykanują mnie, doprowadzając do psychicznego załamania. Podkreśliłem też fakt, że Polska jest sygnatariuszem Praw Człowieka i trzymanie mnie w kraju wbrew mojej woli jest pogwałceniem umów międzynarodowych.

Nie przypuszczam, że wiele osób tak odważnie się zwracało do tego ubeka, pamiętającego jeszcze stalinowskie czasy, a tym bardziej nie spodziewał się on chyba tak bezpośredniej reakcji od dwudziestokilkuletniego młodziana.

Nastąpiła chyba minutowa cisza, która trwała dla mnie 10 razy dłużej. Przechodziły mi przez głowę najróżniejsze myśli: „może każe mnie zamknąć za to, że jestem wrogiem systemu, a może każe mnie odstawić do granicy, tak jak stoję”.

W końcu pułkownik się odezwał. Coś tam powiedział, tym razem łagodniej, i skomentował całą moją skargę jednym zdaniem, którego nie zapomnę do końca życia: „No cóż, zdaję sobie sprawę, że z niewolnika nie ma pracownika”. Potem skomentował, że o decyzji powiadomią mnie odpowiednie władze, i uznał audiencję za zakończoną. Znowu zostałem eskortowany z powrotem do wyjścia i gdy znalazłem się poza budynkiem mocno odetchnąłem. Nogi miałem jak z waty, ręce zachowywały się, jakbym miał Parkinsona, ale byłem dumny z siebie. W czasie rozmowy nie dałem się zastraszyć, przedstawiłem sprawę profesjonalnie i... może coś z tego wyjdzie!

Po latach zobaczyłem na moim podaniu ręcznie napisana notatkę: „W związku ze złożonym odwołaniem oraz w ogóle zachowaniem się petenta (był u mnie w ramach skarg) proponuję wydać dokument podróży.” Pod tym pieczętka: I zastępca Komendanta Miejskiego MO ds. Służby Bezpieczeństwa w Łodzi – płk Henryk Bilski. Nieczytelny podpis i data: 8 XII 71.

Jednak dwa miesiące później decyzja odmowna została zachowana. Zostałem o niej zawiadomiony w końcu lutego 72 roku.

Następne podanie o wyjazd zostało złożone wspólnie z żoną Barbarą Wilmańska-Wieliczańską. Ponieważ oboje pracowaliśmy,

ja w biurze projektów, a Basia jako asystentka na Politechnice, zgromadzenie odpowiednich pozwoleń zabrało nam więcej czasu. Jednak pod koniec kwietnia 1972 roku podania, wraz z załącznikami, zostały złożone w Biurze Paszportowym.

Ja byłem już przyzwyczajony do walki z biurokracją i władzami, ale dla Basi było to nowością. Zdawaliśmy sobie sprawę, że prawdopodobnie nie dostaniemy od razu pozwolenia na wyjazd, więc oprócz normalnego potwierdzenia pracodawcy na kwestionariuszu paszportowym Basia specyficznie wystąpiła do Politechniki o nierozwiązywanie z nią umowy o pracę, o ile nie dostanie pozwolenia na wyjazd. Ponieważ jednak była pracownikiem dydaktyczno-naukowym, została, natychmiast po przedstawieniu do podpisu na uczelni kwestionariusza paszportowego, zwolniona ze stanowiska. Wilmańską należało odsunąć od nauczania młodzieży. Ponieważ rok akademicki zaczynał się w październiku i trwał do maja, należało ją więc „odstawić” przed październikiem!

Uczelnia nie miała jakichkolwiek przepisów, aby ją zwolnić, więc zona odwołała się do Rady Zakładowej Związku Nauczycielstwa Polskiego, którego była członkiem. Pismo, które otrzymała stamtąd, najbardziej obrazuje, jak interpretowało się oświadczenia i jak szyderczo podchodzili wówczas niemal wszyscy do takich jak my:

„...Jest oczywiste, że jeżeli pracownik prosi o wyrażenie zgody na wyjazd za granicę na pobyt stały, to pracodawca musi to rozumieć jako zapowiedź rychłego przerwania pracy przez pracownika. Domyślamy się, że pracodawca informując w początku maja o rozwiązaniu stosunku służbowego z dniem 30 września zakładał, że w okresie pięciu miesięcy uzyska paszport i urzeczywistni swoje marzenia. Wprawdzie Koleżanka rzeczywiście nie prosiła o zwolnienie z pracy, lecz z treści pisma Koleżanki do pracodawcy taka konsekwencja wynika jednoznacznie...” – pisze prezes Rady Zakładowej ZNP Politechniki Łódzkiej docent Ryszard Przybylski w piśmie datowanym 7 lipca 1972 roku.

Z drugiej strony prezes Okręgowego Związku Nauczycielstwa w Łodzi, który został także zawiadomiony o sytuacji Basi, pisze w dokumencie z 6 lipca 1972 roku, podpisanym przez siebie i jednocześnie przez radcę prawnego:

„... rozwiązanie stosunku pracy wyrażone w piśmie Rektora Politechniki Łódzkiej z dnia 10 maja 1972 roku jest niezgodne z oświadczeniem, jakie Koleżanka złożyła w piśmie z dnia 24 IV 1972 roku ...”

Jednym słowem: bądź mądry i pisz wiersze, jak mówi stare przysłowie. Zarówno ówczesny rektor, jak i kierownik kadr wiedzieli, że nie mają podstaw prawnych na usunięcia Basi z uczelni i dlatego przycisnęli jej szefa, ówczesnego Dyrektora Ośrodka Elektronicznej Techniki Obliczeniowej, docenta Kąckiego, aby załatwił to w swoim zakresie i odsunął ją od zajęć dydaktycznych ze studentami. Po roku 1968 były zalecenia władz, aby niepewny element polityczny odseparować od uczniów i studentów. A takim elementem stała się Basia, wyrażając chęć opuszczenia Polski na stałe.

Edward Kącki będąc bezpartyjnym, bał się wszelkich konfrontacji politycznych, a do tego mając słabą osobowość zaczął stosować w stosunku do Basi metodę kija i marchewki. Zwolnić jej nie mógł, ale zaczął ją szykanować i jednocześnie proponować zmianę kontraktu z naukowo-dydaktycznego na naukowy. Różnica wydaje się minimalna, jednak praktycznie taka zmiana równałaby się zakończeniu jakiejkolwiek kariery na uczelni.

Tenże sam Kącki miał już za sobą niedawną sprawę z Tadeuszem Niwińskim, tym samym który wiele lat później napisał między innymi znaną książkę „Ja”. Tadeusz, jako zdolny absolwent Wydziału Chemicznego, po przejściu wstępnych rozmów z tymże docentem został przyjęty jako asystent do pracy w Zakładzie Maszyn Matematycznych, bo tak się wówczas jeszcze nazywała pracownia Kąckiego.

Kącki nie wiedział, przyjmując Tadeusza, że ten młody inżynier, po napisaniu artykułu krytykującego wojsko, wyładował dwa

lata wcześniej na czarnej liście u komendanta Studium Wojskowego Politechniki. Dlatego już na drugi dzień po otrzymaniu wskazówek z kadr i rektoratu Kącki wyparł się w żywe oczy, że Niwińskiego kiedykolwiek zatrudniał. Tadeusz, nie mając jeszcze niczego na piśmie, był w dużo słabszej sytuacji od Basi, ale to może dobrze się dla niego skończyło, że przestał pracować dla tego „docenta bez kręgosłupa”.

W Polsce panowały wówczas dziwne prawa pracy. Pracodawca nie mógł zwolnić tak zwanego jedyne go żywiciela rodziny, jeżeli nawet on źle pracował. Nie zwalniało się ludzi, którzy pili wódkę w pracy lub po prostu się obijali. Było zresztą wówczas popularne powiedzenie: „Czy się stoi czy się leży, dwa tysiące się należy”. W tych przypadkach pracodawca był bezsilny i musiał się męczyć z nieproduktywnymi pracownikami. No i dlatego Polska i inne „demoludy” leżały ekonomicznie. Z drugiej strony, jeżeli pracodawca państwowy miał do czynienia z niepewnym elementem politycznym, tak jak to było w przypadku mojej żony lub Tadeusza Niwińskiego, to mógł takiego pracownika zwolnić bezpodstawnie, bo w tej sytuacji bezprawie stawalo się prawem.

Basia, będąc pod ciągłą presją pracodawcy, podpisała w końcu zgodę na stanowisko naukowe. Kącki oczywiście nie dotrzymał później warunków umowy, do których się zobowiązał przy przeniesieniu jej na to stanowisko. W końcu żona, nie wytrzymując stosunków w pracy, zrezygnowała z zatrudnienia na Politechnice Łódzkiej.

Ze względu na układy polityczne na uczelni zostawali więc często, jako pracownicy, mierni absolwenci. Na Basi roku było trzech najlepszych studentów: Dębowski, Wilmańska i Starski. Nie wiem, co stało się z Dębowskim po studiach, ale nie dostał on pracy na uczelni. Starski wyjechał jako student w 69 roku, ale skończył studia na uniwersytecie w Göteborgu, gdzie jako absolwent potem zrobił doktorat i habilitację. Basia została wyrzucona z Politechni-

ki, ale wiele lat później zaczęła pracować na kanadyjskim uniwersytecie w Edmontonie. Czyli jaki można było wyciągnąć wniosek z tej polskiej polityki personalnej?

Docent Kącki, będąc starym kawalerem, mieszkał sam w bloku własnościowym spółdzielni „Ogniwo” niedaleko ulicy Limanowskiego. Jego budynek był oddalony niecałe 100 metrów od podobnego budynku tejże samej spółdzielni, w którym mieszkałem razem z Basią. Często przechodziło mi przez myśl, aby mu personalnie przyłożyć po pysku, albo nasłać na niego kogoś takiego jak Leszek ze szkoły podstawowej, bo Kąckiemu naprawdę się należało dobre lanie. Był on jednak jednym ogniwem w łańcuchu tej mafii, a z nimi wszystkimi i tak nie dałoby się wygrać.

PRACA

W latach siedemdziesiątych, podobnie jak i wcześniej, obowiązywały w Polsce dosyć szczególne prawa pracy. Bezrobocie oficjalnie nie istniało i jedynie uczniowie i studenci oraz inwalidzi, emeryci i ludzie z tak zwanego marginesu społecznego byli bez pracy. Jeżeli ktoś miał zawód i nie pracował, to był obiektem zainteresowań milicji. Były oczywiście wyjątki, pod które można było się „podczepić”. Matka wychowująca małe dzieci lub powracający z kontraktu za granicą inżynier mogli sobie pozwolić na dłuższy okres bez pracy. Jeżeli nie będziemy brali pod uwagę rolników, to większość społeczeństwa była zatrudniona w przemyśle państwowym. Urzędy, fabryki i przedsiębiorstwa budowlane były własnością państwa. Tylko nieliczni rzemieślnicy, mali przedsiębiorcy i sklepikarze byli niezależni, ale musieli za to drogo płacić. Państwo gnębiło ich podatkami, a urzędnicy żądali łapówek. Prawie nikt nie miał oszczędności. Wydatki na żywność pochłaniały 60 proc. dochodów przeciętnej rodziny, a reszta szła na mieszkanie, świadczenia i ubranie. Z oficjalnych dochodów prawie nikt by nie przeżył. Dlatego też kwitł czarny rynek. Hydraulik lub murarz, łapiąc po oficjalnej pracy „fuchę”, zarabiał przez dodatkowe 2 godziny więcej niż przez 8 godzin u państwowego pracodawcy. Lekarze dorabiali sobie dyżurami, a nauczyciele korepetycjami. Każdy z nich trzymał się jednak kurczowo tej państwowej posady, bo to dobrze wyglądało i dawało dojście do dodatkowych zarobków.

W mojej sytuacji nie mogłem sobie pozwolić na pozostanie bez państwowej pracy. Na początku starałem się zaczepić gdzieś, żeby nie być za bardzo widocznym i móc się zwolnić bez długiego okresu wypowiedzenia. Cały czas liczyłem na wyjazd, ale sytuacja się zmieniła, bo pozwolenia ciągle nie dostawałem. Dodatkowym minusem był fakt, że za każdym razem, gdy składałem kolejne podanie o wyjazd, musiałem dostać podpis mojego pracodawcy. Oczywiście chęć wyjazdu na stałe przekreślała jakiejkolwiek możliwości awansu w firmie, a słowo Izrael działało na wielu jak płachta na byka. Ludzie tradycyjnie nie sympatyzowali z Żydami, a ponadto w tym okresie Związek Radziecki nawiązał przyjacielskie stosunki z krajami arabskimi. Moja sytuacja, zarówno socjalna jak i zawodowa, była więc nie do pozazdroszczenia. Ale co miałem zrobić? Pierwsze trzy miesiące pracowałem jako elektryk mierzący uziemienia maszyn. Praca ta dała mi trochę doświadczenia zawodowego i życiowego. Po pierwsze, zauważyłem, że zarabiałem dużo mniej od pracujących w tej samej firmie, dużo niżej wykształconych techników. Istniało wówczas w Polsce prawo, które nie pozwalało na płacenie absolwentom szkół wyższych w pierwszym roku po studiach więcej, niż określona przez rząd stawka. Zarabiałem więc około 40 proc. tego, co inni za tę samą pracę. Ale miałem okazję poznać kilka innych przedsięwzięć, które były klientami naszej spółdzielni. Jednym z nich była miejska rzeźnia.

Gdy przyszedłem tam pierwszy raz i tylko przez drzwi zauważyłem ociekające krwią połacie mięsa i czerwoną od krwi podłogę, ugięły się pode mną nogi. Szybko zapytałem, kiedy zakład jest czyszczony po produkcji?

Okazało się, że około 3 rano wszystko jest posprzątane po drugiej zmianie. A pierwsza zmiana zaczynała pracę o siódmej rano. Odetchnąłem z ulgą, dowiadując się, że mogliśmy mieć aż trzy godziny spokoju. Razem z drugim pracownikiem przychodziliśmy więc robić tam pomiary między 3 a 7 rano. Nasza spółdzielnia miała tak-

że kontrakt na pomiary w przetwórnicy mięsa, gdzie wytwarzano kiełbasy. Mimo że szybko się uporaliśmy z zadaniem w tym przedsiębiorstwie, przedłużyliśmy odejście stamtąd o dobrych kilka dni, gdyż mieliśmy szansę najeść się do syta dobrych przetworów. Przychodziło się do pracy „na głodnego”, po pracy zaś, tuż przed pójściem do domu, znowu najadaliśmy się do syta. Nie można było wynieść ani kupić nic, ale pozwalano nam się „nażreć jak świnom”.

Kiedy zdałem sobie sprawę, że może nigdy nie wyjadę, postanowiłem zatrudnić się jako inżynier. Na początku, niestety, jako stażysta. O pracę nie było trudno, gdyż dyrektorzy zakładów musieli stosować się do tak zwanych wskaźników. Był wskaźnik produkcji określający, ile dany zakład ma wyprodukować lub wybudować. Był wskaźnik finansowy oceniający, ile zakład może zarobić lub stracić pieniędzy. Istniał też wskaźnik zatrudnienia. Oprócz tego były wskaźniki eksportowe i walutowe. Jeżeli jakaś fabryka za dużo zarobiła, musiała zatrudnić więcej ludzi. Jeżeli zakład wyprodukował coś na eksport, to część twardej waluty mógł wydać na maszyny i wyposażenie. A ponieważ poziom wypłat był ściśle regulowany, więc często wynagradzany był mierny, nieefektywny pracownik.

Najpierw zetknąłem się z tym zjawiskiem w Miejskim Przedsiębiorstwie Instalacji Elektrycznych i Ciepłowniczych, gdzie pracowałem przez 15 miesięcy. Mimo, że na początku byłem tam stażystą, to robiłem w zasadzie to samo co później, jako inżynier budowy. Wraz z kierownikiem, który nie był inżynierem, mieliśmy do nadzoru dwie lub trzy budowy, na których pracowało około 20 elektryków. Niektórzy z nich byli dobrymi fachowcami, ale inni zostali ledwo przyuczeni do zawodu. I tak jak wszędzie, pracowali oni według niepisanej hierarchii zawodowo-wiekowej. Stare wygi pokazywały palcem, a ci młodzi musieli pracować albo latać „po wodkę”. Ponieważ ja sam byłem stosunkowo młody, a tylko dwóch pomocników było młodszych wiekiem ode mnie, więc na samym początku robotnicy próbowali mnie podejść. Zawodowo i życio-

wo. Zawodowo dałem sobie szybko radę, ale życiowo było gorzej. Między innymi byłem odpowiedzialny za rozliczanie robotników z wykonanej pracy i obliczanie ich zarobków. Mimo że sam zarabiałem na stażu 1600 złotych miesięcznie, to miałem powiedziane, że „moi” pracownicy, którzy byli płatni w akordzie, muszą „wyrabiać” od 2 do 5 tysięcy, w zależności od ich zawodowego zakwalifikowania. Jeżeli im się tyle nie zapłaci, to po prostu się zbuntują i albo odejdą, albo nie będą w ogóle pracować. W rezultacie musiałem się czasem mocno „nagłówkować”, jak rozliczać roboty i pracowników. Często byli oni płatni z niezaczątych budów, a czasami trzeba było im zapłacić za niewykonaną pracę.

Wtedy właśnie zobaczyłem od podszewki, jak ta Polska pracuje. Raz dostaliśmy kontrakt na wymianę starych, ponadpięćdziesięcioletnich miedzianych kabli na nowe aluminiowe. Stare kable wymieniano wówczas ze względu na starzejącą się ich izolację. A z kolei ze względu na koszt miedzi, wszystkie nowe kable były praktycznie tylko aluminiowe. Miedź jest dużo lepszym przewodnikiem niż aluminium, ale jak to się mówiło wtedy: „jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma”.

Najważniejsze dla wszystkich natomiast było to, co zrobić z wykopanymi bezużytecznymi kablami miedzianymi? Według założenia, cały ten złom należało oddać do magazynu w celu odzyskania cennej miedzi. Ale przepisy to jedno, a życie to zupełnie co innego.

Brigadzystą na budowie wymiany kabli był stary wyga, imigrant z Rosji, który czasem się nawet chwalił, że budował w Dubnej pod Moskwą ośrodek nuklearny. Roboty prowadził wzorowo, ale po „swojemu”. Wykopany miedziany kabel zostawał więc codziennie podpalany, aby pozbyć się resztek izolacji. Odzyskana w ten sposób miedź wędrowała do punktu skupu metali nieżelaznych, gdzie była zamieniana na gotówkę. Oczywiście nikt nie dbał o zanieczyszczenie środowiska i palące się kable, czasem w środku miasta, nikogo nie interesowały. Natomiast pieniądze, które powinny wylądować

w kasie firmy, zostały pieczołowicie przechowywane w kieszeni brygadzysty. Pierwszy raz połapałem się, co jest grane, gdy po sprawdzaniu robót przed końcem dnia pracy wszedłem do pakamery: tam zostałem poczęstowany alkoholem i zagrychą. Wiedząc, że na budowie wszyscy pili zwykłą wódkę z czerwoną kartką, delikatnie odmówiłem mówiąc, że „czystej” nie pijam.

Oczy wyszły mi na wierzch, gdy brygadzysta wyjął z kieszeni plik stówek i powiedział do najmłodszego robotnika:

– Antek, skocz po jarzębiak dla pana inżyniera i przy okazji kup trochę dobrej kielbasy.

Nie wiedziałem, dlaczego brygadzysta był taki hojny, ale przy drugiej półlitrowce język mu się rozwiązał. Ja nie miałem wyjścia i musiałem wykończyć jarzębiak, bo nikt na budowie „nie pił takiego świństwa”. Ale przy okazji dowiedziałem się, dlaczego jego brygada tak dobrze „pracowała”:

Na jednej budowie była miedź z kabli. Z drugiej cegła, którą miało się przykryć kabel, wędrowała do prywatnego odbiorcy. „Zaoszczędzone” z instalacji nowe przewody elektryczne, zostały instalowane w nowo budującej się prywatnej willi.

Nie wiem, ile z tych „lewych” pieniędzy wędrowało do prywatnej kieszeni brygadzysty, ale przypuszczam, że nie za dużo: chyba wszystko szło na wódkę i „zagrychę”. A ja nie miałem za bardzo wyjścia. Jeżeli się nie napiję, to nie będę „swój”, a wtedy oni mogą mi zaszkodzić. Gdybym z kolei powiedział kierownictwu, że robotnicy piją i kradną materiał, to chyba by mnie ci ostatni wyśmiali, bo o tym wiedziała cała Polska.

Do przewożenia drobnych materiałów mieliśmy w grupie robot furgonetkę – żuka. Mnie ten żuk przypadał raz w tygodniu. To też był jeden z paradoksów komuny, że żuk był wynajmowany wraz z kierowcą od przedsiębiorstwa taksówkowego. Żeby było drożej! Kierowca żuka, potocznie nazywany przez nas „Wąsik”, robił to, co mu się kazało, pod warunkiem że miał później podpisane do-

datkowe kilometry i godziny. Wąsik miał koło pięćdziesiątki, był świadkiem wielu „przekrętów”, ale umiał trzymać język za zębami i dzięki temu świetnie prosperował. Nosił wąsy jak Zagłoba i stąd wzięło się jego przezwisko. Pożyczenie samochodu ciężarowego przez prywatną osobę było wówczas niemożliwe, dlatego też wszystko załatwiano się na „fuchę”. Ja też z tego czasem korzystałem. Gdy przed zimą trzeba było przywieźć do domu kartofle, to podpisałem Wąsikowi ekstrakilometry i przywiozłem w czasie pracy ziemniaki. Inni robili podobne numery na dużo większą skalę.

Aby ograniczyć nielegalne transakcje, od czasu do czasu przeprowadzane były zewnętrzne kontrole. Ale ponieważ wszyscy popierali się nawzajem, bo „system i tak nie da nam żyć”, kontrole te zazwyczaj nic nie wykazywały. Magazynier, który w przypadku nadwyżek lub niedoborów mógł wylądować w więzieniu, był najbardziej narażony na kontrolę. Zdażyło mi się raz być obecnym, gdy on właśnie zadzwonił do naszego kierownictwa i niemal błagalnie prosił, abyśmy się zgodzili przyjąć dwie wywrotki cegły, bo za dwie godziny będzie miał inwentaryzację. W okresie, gdy był niedobór cegły i innych materiałów budowlanych, taki telefon od kierownika magazynów był niemalą gratką:

– Mam nadwyżkę cegły i zaraz wam to wysyłam, tylko na którą budowę mam to skierować?

– Ale ja nic teraz nie potrzebuję i nie mam na co takiej ilości rozpisać – powiedział nie łapiąc się, o co chodzi, mój kierownik.

– To jest nadwyżka, nie musisz nic rozpisywać, ani kwitować odbioru. Wyrzucić, sprzedać, to mnie nie obchodzi, tylko powiedz, gdzie najlepiej to wysłać? Ja ci się w przyszłości odwzajemnię!

Tego typu propozycja nie została oczywiście odrzucona. Cegła wylądowała na budowie i za parę dni została sprzedana na wolnym rynku. Inwentaryzacja nie wykazała żadnych ubytków ani nadwyżek i... wszyscy byli zadowoleni. Łącznie z tym, który ostrzegł magazyniera o kontroli.

Ja też musiałem lawirować. Na budowach starałem się zjawiać przed południem, gdy butelki nie były jeszcze otwarte. No i oczywiście nigdy w poniedziałek, bo pracownicy byli „na kacu” i mogli spowodować wypadek. Pijaństwo jednak nawet mnie nie ominęło. Gdy otrzymywaliśmy premię, to kierownictwo budów szło do knajpy i czasem też musiałem się z nimi zahaczyć. Na początku mojej kariery w MPREiC-u byłem kawalerem, to jakoś mi uchodziło przychodzenie po pracy „na bani”.

Później, gdy już pobraliśmy się z Basią, nie podobały się jej te praktyki i musiałem rozejrzeć się za bardziej „trzeźwym” zatrudnieniem.

Zanim jednak to się stało, byłem świadkiem wypadku, który o mało nie przyprawił mnie o atak serca. Ogólnie było wiadomo, że kierownictwo budowy było odpowiedzialne za wszystko: wykonanie planu, płace robotników, nadzór techniczny, a także za wypadki przy pracy. A o te ostatnie nie było trudno, szczególnie gdy alkohol lał się strumieniami. I tak pewnego dnia gdy, jadąc z Wąsikiem, zbliżałem się do placu budowy nagle zauważyłem, że dwóch najmłodszych monterów zabiera się do wejścia na betonowy słup linii wysokiego napięcia. Z daleka było widać, że linia nie jest uziemiona, czego wymagały przepisy bezpieczeństwa pracy i byłem prawie pewny, że linia nie jest odłączona od sieci. W ciągu sekundy zrobiłem się cały mokry i tylko krzyknąłem „panie Wąsik, na gazie do słupa”. Wąsik, który niejedno widział, połapał się, o co chodzi, i po krawężnikach i wertepach podjechał do słupa. Gdy dojeżdżaliśmy, przycisnął jeszcze klakson i wtedy ci dwaj kowboje przestali się wspinać. Oczywiście byli pijani i tylko trochę zaszokowani, dlaczego zazwyczaj spokojny młody inżynier zaczął rzucać kurwami i omal nie przyłożył im po pysku. Uspokoił mnie dopiero Wąsik, ale zaraz wysłałem młodzianów do domu i poszedłem szukać reszty brygady która, oczywiście... popijała w pakamerze.

Pod koniec 1971 roku miałem dosyć budownictwa i odszedłem z MPRIEC-u. Wkrótce zacząłem pracę w biurze projektowym przemysłu włókien sztucznych „Biprowis”.

Biuro to zajmowało się projektowaniem i budową zakładów produkujących włókna sztuczne w całej Polsce. Niedługo po moim zatrudnieniu biuro przeniosło się z tymczasowych baraków przy Kopcińskiego do najwyższego wówczas łódzkiego biurowca przy ulicy Uniwersyteckiej i zmieniło nazwę na „Chemitex”. Wtedy też stało się jednym z bardziej prestiżowych miejsc pracy. W „Chemiteksie” pracowało około tysiąca inżynierów i techników. Zarządzało nami co najmniej 5 dyrektorów. Pisze co najmniej, bo tyłu było w Łodzi, a oprócz tego byli dyrektorzy nadzorujący budowy w Toruniu i Gorzowie Wielkopolskim, gdzie powstawały ogromne fabryki. Budowy w tych miastach zostały objęte tak zwanymi kompleksami gospodarczymi, co w praktyce oznaczało pierwszeństwo w otrzymaniu podzespołów, funduszy na zakupy z importu i zatrudnieniu potrzebnych pracowników.

Jednak pomimo, że już w połowie 1971 roku „Biprowis” wystąpił o przejęcie mnie z MPRIEC-u, to tamtejszy dyrektor nie chciał mnie puścić. Musiałem się więc zwolnić, tracąc urlop i premię. Ale warto było to zrobić! W „Chemiteksie” nie piło się alkoholu: no może ze dwa razy do roku, z okazji świąt lub zakończenia projektu, wzniosło się toast. Budowy prowadzone poza Łodzią odwiedzałem nie częściej niż raz na 3 miesiące. Praca była czysta i na wyższym poziomie zawodowym niż poprzednio. Oprócz tego płace inżynierskie były przeciętnie dwa razy wyższe niż gdzie indziej i, co najważniejsze, ogólnie miało się do czynienia z ludźmi na poziomie.

W „Chemiteksie” pracowałem w komórce elektryczno-pomiarowej, zajmującej się sprowadzaniem specjalistycznej aparatury z zagranicy. Mimo że większość absolwentów szkół wyższych miała w szkole i na studiach obowiązkową naukę dwóch języków obcych, to jednak bardzo mało osób je znało. I właśnie tu mając nie-

małą przewagę nad innymi, zacząłem wyrabiać sobie opinię tego, co daje sobie radę z cudzoziemcami. Dostawałem do prowadzenia kontrakty po angielsku, niemiecku i nawet trafił mi się jeden po rosyjsku. Co było ciekawe, że dostawcy skandynawscy, włoscy i nawet francuscy rozmawiali i prowadzili korespondencję po angielsku, ale Niemcy i Austriacy używali tylko niemieckiego.

Bardzo sobie ceniłem, że tylko dyrektor naczelny i główny kadrowiec wiedzieli o moich zamiarach wyjazdowych, ale trzymali to w tajemnicy, co umożliwiło mi małe awanse i otrzymywanie dość wysokich premii. Szybło wyszło jednak raz z worka, gdy trzeba było wysłać kogoś do Austrii, aby dopiąć kontrakt na zawory sterowane dla toruńskiej Elany. Dyrektor naczelny był wówczas w Japonii i dlatego jego zastępca wezwał mnie i polecił za dwa dni stawić się w Wiedniu. Gdy mu delikatnie sugerowałem, że nie mam paszportu służbowego i może mogę mieć z jego otrzymaniem kłopot, szybko to skomentował:

– To jest ważna sprawa, wy, kolego inżynierze, znacie zagadnienie i język niemiecki, a poza tym to jest pilna dostawa dla kompleksu gospodarczego, więc my wam paszport załatwimy na jutro.

Nie skomentowałem pewności dyrektora Szramy, bo tak się on nazywał, ale gdy nazajutrz rano ponownie mnie wezwał, nie miałem wątpliwości, co mi powie.

– No, nie wiedziałem, że jesteście na czarnej liście u naszych władz – nawet dosyć sympatycznie to ujął. – Wobec tego proszę, niech pan zapozna generalnego projektanta ze sprawą i on pojedzie do Austrii. – Szrama uznał rozmowę za zakończoną, a ja, mimo że wiedziałem z góry o czekającym mnie niepowodzeniu paszportowym czułem się, po raz nie wiem który, oszukany przez system i kraj.

Generalny projektant, mimo że był inżynierem, zajmował się tylko administracyjnym nadzorem i w dodatku nie znał niemieckiego. Był dużo starszy ode mnie i gdy przyszedł po dokumenty i wskazówki, odegrałem się na nim za nich wszystkich. Było mi potem przykro, bo on sam był Bogu ducha winien, a ja dałem mu do zrozumie-

nia, że jest niekompetentny i nie powinien mi zabierać tego wyjazdu. Ale z drugiej strony sam wiedziałem, że gdybym teraz wyjechał na paszporcie służbowym, to do Polski już bym nie wrócił.

Ze zrozumiałych powodów z dostawcami zachodnimi mogłem się widywać jedynie w Polsce: w biurze Chemiteksu, na Targach Poznańskich oraz w Niemczech Wschodnich, bo tylko tam mogłem jechać bez paszportu. Urząd paszportowy zabrał mi nawet wkładkę do dowodu osobistego uprawniającą do wyjazdów do pozostałych krajów RWPG, czyli wspólnoty socjalistycznej.

Ponieważ biuro było odpowiedzialne za potężne kompleksy gospodarcze, które musiały być ukończone w stosunkowo krótkim czasie, więc miało dużo swobody w projektowaniu i dobieraniu aparatury. Nawet ja, będąc małym pionkiem w systemie, sam zamawiałem oprzyrządowania za 25 tys. dolarów. Takie zamówienia były zawsze aprobowane przez kierownika pracowni i przez centralę handlu zagranicznego, która dysponowała biurowymi dewizami. Tak było do 1974 roku: pożyczki gierkowskie, nazywane tak od nazwiska ówczesnego I sekretarza partii, umożliwiały szybką rozbudowę przemysłu. Łatwe pieniądze szybko jednak się wyczerpały i w roku 1975 wszystkie zakupy zagraniczne, nawet za 100 dolarów, musiały być zaaprobowane przez wiceministra przemysłu, któremu podlegało nasze biuro.

W celu zapobieżenia korupcji podczas zakupów aparatury z państw zachodnich wprowadzono skomplikowany system zamawiania. Po tym, jak projektant zaproponował jakieś urządzenie, taki jak ja kompletator wysyłał zapytania ofertowe do kilku potencjalnych dostawców. Po porównaniu cen i danych technicznych, moja propozycja zakupu wracała do akceptacji przez oryginalnego projektanta. Gdy ten nie miał do tego zastrzeżeń, to wtedy zamawiałem wymagane urządzenie w odpowiedniej Centrali Handlu Zagranicznego, która w imieniu naszego biura przelewała ze swojego konta bankowego dewizy na konto dostawcy.

Zarówno projektant jak i kompletator, oboje podlegali swoim kierownikom pracowni, a ci z kolei mieli nad sobą dyrektorów, którzy też wprowadzali zmiany. Cała ta skomplikowana biurokracja miała na celu nie tylko zapewnienie pełnego zatrudnienia, ale także wprowadzanie zamieszania wśród zagranicznych dostawców, aby nikt nie wiedział, do kogo należy decyzja zakupu. Ale byli tacy, co umieli się w tym biurokratycznym bałaganie jakoś połapać.

Prawie do końca pracy w „Chemiteksie” prowadziłem kontrakt zakupu pierwszego w Polsce komputera do sterowania produkcji. Oczywiście będąc młodym inżynierem, nie miałem prawie żadnego wpływu na wybór dostawcy, byłem odpowiedzialny jedynie za koordynację oferowania i kontraktu. Dobrze pamiętam ten kontrakt, bo biuro dokonało zakupu w mało znanej wówczas włoskiej firmie Nuovo Pignone. System ten był chyba najgorszym z oferowanych, ale jak mi potem powiedziano, jeden z dyrektorów dostał prezent w wysokości 5 tys. dolarów i przeforsował zakup. A z kolei właściciel zakładu, czyli rząd polski, zapłacił wtedy milion dolarów za ten system komputerowy. Prezenty od dostawców, mimo że o nich się nie mówiło oficjalnie, były często dostawane. W biurze oraz na terenie Targów Poznańskich i Lipskich, pracownicy dostawali butelki zachodnich alkoholi, pióra i zabawki techniczne. Gotówka była jednak zarezerwowana dla wyższych rangą pracowników, którzy byli zapraszani na parafowanie lub podpisywanie kontraktów do krajów zachodnich, gdzie właśnie otrzymywali „prezenty” w kopertach. Niektórzy odmawiali brania tych łapówek, a inni nie – tak jak to jest zawsze w życiu.

Mnie takie okazje ominęły, bo na służbowe delegacje na zachód nie wyjeżdżałem. Ale na mniejszą skalę, praca w „Chemiteksie” umożliwiała mi dodatkowe chałtury. Prawie wszystkie dokumenty, które przechodziły przez moje ręce, były pisane w obcych językach. Były to kontrakty, instrukcje techniczne i cała korespondencja przed- i pokontraktowa. Część tych papierów nikogo potem nie intereso-

wała, ale instrukcje musiały być tłumaczone na język polski, gdyż wraz z aparaturą trafiały na teren budowy, a tam nikt prawie nie znał obcych języków. „Chemiteksowi” też zależało, żeby nie popełniono jakiś błędów przy instalacji i eksploatacji importowanych elementów, więc trzeba było to wszystko tłumaczyć. Dawałem więc, w imieniu biura, zlecenia na tłumaczenie tychże instrukcji, do spółdzielni tłumaczy przysięgłych, która mieściła się przy ulicy Traugutta.

Z drugiej strony, zapisałem się do tej samej spółdzielni jako tłumacz i przekładałem zlecone przez „Chemitex” instrukcje. Czyli byłem jednocześnie zleceniodawcą i zleceniobiorcą tych samych kontraktów. „Chemitex” płacił więc za tłumaczenie, ja dostawałem za to pieniądze, a spółdzielnia brała swój procent za pośrednictwo i... wszyscy byli zadowoleni. Oczywiście tak jak ja postępowało wielu kolegów w biurze. Kierownictwo przymykało na to oczy, bo tłumaczenia techniczne były bardzo specyficzne i kto to mógł zrobić lepiej niż ci, co przy danym projekcie pracowali? A fakt, że często tłumaczyliśmy te dokumenty w czasie pracy, nie był najważniejszy.

W komórce elektryczno-pomiarowej pracowało pięć osób. Czterech mężczyzn i jedna młoda kobieta. Pierwszy „nawiał” Maciak. Kiedyś po prostu przysłał kartkę pocztową z pozdrowieniami z Nowego Jorku i już nie wrócił. Ja przestałem tam pracować na początku 1976 roku i rok później „wylądowałem” w Edmontonie. Następnym był Erwiński, który zjawił się w Nowym Jorku w 2 lata po mnie. Ostatni z nas, Warzyński, który skończył Elektryczny razem ze mną, znalazł się pod koniec lat 70. w Toronto. W Polsce została jedynie, ostatnia z grupy, Irenka Dziecielska. „Chemitex” nie był typowym przedsiębiorstwem, ale typowe było opuszczanie tego tonącego statku, nazwanego Polską, przez młodych i wykształconych ludzi. Jak się później przekonałem w Kanadzie, większość polskich imigrantów wymykała się z kraju ze względów ekonomicznych. Ja byłem jednym z tych nielicznych, którzy wyjechali z pobudek czysto politycznych.

Dobrym przykładem byli wówczas młodzi lekarze, często po specjalizacji, a czasem po doktoracie, którzy zarabiali w Polsce 3 do 4 tysięcy złotych miesięcznie. A za to nikt nie mógł wyżywić się sam, nie mówiąc już o utrzymaniu rodziny. Ci sami ludzie, po uzyskaniu prawa pracy, zarabiali w Kanadzie też 3 do 4 tysięcy ale... dolarów, i to na początek! Był to powszechnie znany paradoks.

Ja z kolei zarabiałem około 7 tys. złotych w „Chemiteksie”, nie mówiąc o dochodach ze sprzedaży biżuterii, które były ponadto wielokrotnie wyższe. Zarabiałem wtedy więcej niż 90 proc. Polaków. Oprócz układów z Krzywickim i Marczewskim znałem wiele innych, z którymi miałem układy finansowe.

Jednym z nich był pan Woźniakowski, który prowadził prywatną przetwórnię mięsa przy ulicy Rzgowskiej. Obok tego zakładu miał także sklep, gdzie można było kupić jego wyroby. A na zapleczu sklepu mieszkał razem z żoną i kilkunastoletnim synem. Jako prywatna inicjatywa, był on na każdym kroku gnębiony przez władze i obkładany coraz to wyższymi podatkami. Ważył chyba ze 150 kilo, był zawsze podenerwowany i w rezultacie miał bardzo wysokie ciśnienie krwi. Poznałem go, gdy przychodził leczyć się do mego ojca. Kiedyś w chwili szczerości tato powiedział temu pacjentowi o moich kłopotach wyjazdowych. Mimo że pan Woźniakowski był dwukrotnie starszy ode mnie, bardzo się z nim zaprzyjaźniłem. On zaś, użerając się ciągle z władzami polskimi, chciał dla przyszłości syna wyjechać na stałe do Niemiec Zachodnich. O ile dobrze pamiętam, jego żona pochodziła z rodziny niemieckich łodzian, więc z obywatelstwem tam nie byłoby kłopotu. Problem jednak był inny: jak wyjechać z Polski? Znając moją historię, nie chciał się ubiegać o wyjazd oficjalnie. Czekał na okazję i przygotowywał się finansowo.

Kiedyś zadzwonił do mnie Woźniakowski i prosił, żebym wpadł do niego. Nie wiedziałem, po co, bo pewnych rzeczy nie mówiło się przez telefon, ale sprawa wyjaśniła zaraz się po moim przyjeździe.

Gdy tylko wszedłem do domu, powiedział mi, że wysłał żonę i syna, aby nam nie przeszkadzali i ... rzucił na stół stos biżuterii i złotych monet. Woźniakowski wiedział, że znałem się na tym i zawsze chodziłem z narzędziami do wyceny. Zważenie, obejrzenie i pomierzenie tego majątku zabrało mi wówczas dwie godziny. Nie wiem, co się stało z tą biżuterią później, ale dowiedziałem się po wielu latach, że jedyny jego syn znalazł się na stałe w Niemczech Zachodnich.

Biznesowe układy miałem także ze Stanisławem Paszkowskim, który był właścicielem sklepu galanteryjnego przy ulicy Nowomiejskiej, niedaleko placu Wolności. Pan Stanisław mieszkał niedaleko „Chemiteksu” w pięknej przedwojennej kamienicy. Żeby było śmieszniej, sąsiadem tego komunistycznego kapitalisty był wówczas przewodniczący miejskiej rady narodowej, niejaki Kazimierzak, czyli po prostu burmistrz miasta. Paszkowski był z pochodzenia Żydem i przez swoje zagraniczne kontakty miał dostęp do waluty i bonów dolarowych. A ja tego towaru potrzebowałem od czasu do czasu. Syn pana Stanisława był zaledwie parę lat młodszy ode mnie, ale zaraz po 68 roku wyjechał sam do Danii. Paszkowski senior został jeszcze przez kilka lat w Polsce, ale w końcu też wybrał wolność i dołączył do syna. Jednak gdy jeszcze obaj byliśmy w Polsce, wiedząc, że bezskutecznie staram się o wyjazd, zapytał mnie prosto z mostu:

– Dlaczego nie da pan łapówki? Przecież wiadomo, że paszport dla rodziny kosztuje 50 tys.

– A mógłby pan mi w tym pomóc, przekazując pieniądze komu trzeba? – odparłem, widząc choćby małą nadzieję w tej ofercie.

– Oczywiście – odparł pan Stanisław, czekając na moją reakcję.

– No to ja daję 150 tys.! – usłyszał wtedy ode mnie całkiem zdziwiony Paszkowski.

Kiedy jednak spotkałem się z nim po kilku dniach, powiadomił mnie ze smutkiem:

– Pańska sprawa jest za głośna i nikt nie chce jej dotknąć za żadne pieniądze.

Wszyscy, z którymi przeprowadzałem transakcje pieniężne, byli dużo starsi ode mnie, ale w tym nie było nic dziwnego. Moi rówieśnicy nie mieli pieniędzy, zaczynali robić kariery, często polityczne, i dorabiali się. Nie chcieli, albo nie mogli mieć kontaktów z „niepewnym” Wieliczańskim.

A ja, mimo że byłem dużo lepiej ustawiony finansowo od rówieśników, nie mając wolności i będąc „niepewnego” pochodzenia, nie mogłem tam zostać. Jako jeden z nielicznych opuściłem więc później Polskę świadomie, legalnie i bez prawa powrotu.

SIOSTRA

Było nas dwoje rodzeństwa. Moja siostra, Zosia, urodziła się w listopadzie 1941 roku. Po aresztowaniu ojca, przez dwa lata aż do zakończenia wojny, była wychowywana przez babkę, gdyż nasza mama w czasie okupacji była zajęta pracą i kontaktami z uwięzionym mężem. W czasie gdy tata był na Majdanku, mama Teodozja jeździła do Lublina, starając się przez różnych adwokatów o zwolnienie ojca z obozu. Nie udało się to, ale będąc tam miała okazję wymieniać z mężem Henrykiem potajemnie korespondencję w postaci grypsów. Część tych listów znalazła się po wojnie w muzeum na Majdanku.

Zosia, będąc o 6 lat starsza, trochę się mną na początku opiekowała gdy rodzice wysyłali nas oboje na kolonie letnie. Jednak gdy była już 16-letnią panną, zupełnie straciliśmy ze sobą kontakt. Ona miała swoje koleżanki, a ja byłem tym dużo młodszym „szczeniakiem”. Jak wszystkie panienki z dobrych domów, Zosia uczyła się w liceum i nie bardzo wiedziała, co będzie robić później. Ponieważ przedmioty ściśle nie były jej najmocniejszą stroną, rodzice namówili ją na medycynę. W przeciwieństwie do mnie, Zosia była ugodowa i nigdy nie przeciwstawiała się naszej mamie, która zdecydowanie zarządzała ogniskiem domowym. Gdy Zosia była już przed maturą, ojciec załatwił jej korepetycje, których udzielał młody zdolny lekarz, niejaki Pakuła. Dr Pakuła został wiele lat później znanym neurochirurgiem, ale musiał być też dobrym pedago-

giem, bo po tych korepetycjach siostra dostała się bez specjalnych „chodów” na Akademię Medyczną.

Mimo że jestem jej bratem, mogę śmiało powiedzieć, że Zosia była atrakcyjną, młodą kobietą i stąd miała wielu adoratorów. Będąc na drugim roku medycyny zakochała się w przystojnym absolwencie uniwersytetu, Wiesławie Kołodziejczaku. Wiesiek miał ponad 180 wzrostu i będąc inteligentnym i wykształconym, mógłby być idealną partią dla Zosi. Przeszkodą byli jednak rodzice, a głównie nasza mama. Wiesiek nie pracował „na pensji”. Trochę pomagał swojej matce, która prowadziła produkcję i sprzedaż kapeluszy, trochę handlował i dlatego miał dużo czasu i nieźle prosperował. W ówczesnej Polsce samochód kosztował tyle co 4-letnie przeciętne zarobki, natomiast Kołodziejczak kupował nowego moskwicza co kilka miesięcy. Jestem przekonany, że nieźle zarabiał na tym „obrocie” aut, ale to nie podobało się moim, tradycyjnym rodzicom.

Zresztą oni traktowali podobnie też mnie. Gdy wiele lat później odwiedzili nas rodzice w Kanadzie i zobaczyli budynki, które kupowałem, mama skarciła mnie wówczas mówiąc:

– Co ty się bawisz w jakieś biznesy, masz dobry zawód i musisz pracować jako inżynier.

Gdy Zosia zbliżała się do końca studiów, wiele jej koleżanek było zaręczonych, a niektóre były już mężatkami. Wywierało to sporą presję na nią i do pewnego stopnia na naszą mamę. Wiesiek, nie będąc za bardzo akceptowany przez naszych rodziców, nie był gotowy się oświadczyć. Natomiast Zosia, mając wówczas 22 lata, nie chciała za długo czekać.

Nasza mama będąc kiedyś u fryzjera poznała niejaką panią Nakielską, była wdową po przedwojennym oficerze, pochodzącym z dawnej szlacheckiej rodziny. Hrabia Nakielski zginął w pierwszych miesiącach wojny, ale zostawił dwóch małych synów: Andrzeja i Witka. Po wojnie ich mama wyszła ponownie za mąż za dyrektora banku, ale już nie miała więcej dzieci.

Po szczerej rozmowie u fryzjera i wymianie rodzinnych sekretów, panie Wieliczańska i Nakielska doszły do wniosku, że należy przedstawić sobie swoje dzieci. Gdy nasza mama zakomunikowała Zosi, że zostanie jej przedstawionych dwóch adoratorów, biedna moja siostra podglądała przez dziurkę od klucza, kogo jej przyprowadzono. Jak mi później mówiła, spodziewała się najgorszego. Jednak gdy pani Nakielska weszła do przedpokoju prowadząc dwóch normalnych, przystojnych młodych mężczyzn, Zosia niepewnie weszła i sama się przedstawiła. Obaj młodzi Nakielscy byli inżynierami: starszy Andrzej pracował jako główny mechanik w jednym z łódzkich zakładów, a Witek właśnie wtedy ukończył Wydział Chemiczny Politechniki Łódzkiej.

Niedługo po tym zapoznaniu moja siostra została żoną Andrzeja Nakielskiego. Ślubu udzielił im, a jakże, prałat katolicki ksiądz Hołdrowicz, którego rodzina leczyła się u mojego ojca. Ze względu na ogólny brak mieszkań w tym czasie młodzi zamieszkali w naszym rodzinnym mieszkaniu, które zostało w tym celu podzielone na dwie części. Niestety, między mieszkaniem były drzwi, które umożliwiały naszej gosposi Maryni, a także naszej mamie częste wizyty u dzieci. Oczywiście takie rozwiązanie mieszkaniowe było dla Zosi i Andrzeja też wygodne, bo oboje stołowali się u rodziców. Jednak życie pod okiem teściów nie było zbyt zdrowe dla niezależności młodych i dla ich małżeństwa.

Niedługo po ślubie Zosia skończyła studia i zaczęła pracować jako lekarka. Potem urodziła dwójkę dzieci i zrobiła specjalizację w ginekologii. Dorabiając sobie dyżurami, zarabiała więcej od męża i małżeństwo zaczęło się psuć. Po 1968 roku modne zrobiły się nagonki na „syjonistów”. I właśnie wtedy Andrzej, nie zdając sobie sprawy z wrażliwości tematu, powtórzył to, co właśnie oznajmiono mu w zakładowej organizacji partyjnej: „skoro ożenił się z Żydówką, to może od razu dostać rozwód”. Na Zosi to nie zrobiło aż takiego wrażenia, ale rodziców stwierdzenie to doprowadziło do wściekłości.

Tak jak szybko doszło do ślubu, równie szybko doszło też do rozwodu. Zosia i Andrzej rozwiedli się w 1969 roku po zaledwie trzech latach małżeństwa. Andrzej wyprowadził się i tylko od czasu do czasu odwiedzał swoje dzieci, Sławka i Gosię.

Niedługo po rozwodzie Zosi skończyłem studia i zacząłem starać się o wyjazd z Polski. Atmosfera wyizolowania społecznego wpłynęła także na nią bo, oprócz pracy i czasu spędzonego z dziećmi przestała mieć jakiekolwiek kontakty towarzyskie. Zosia zaczęła coraz więcej pracować, często biorąc dodatkowe dyżury szpitalne. Dziećmi w tym czasie zajmowali się moi rodzice i oczywiście nasza gosposia Marynia, która bardzo zżyła się z Gosią i Sławkiem.

Po 68 roku wielu znajomych opuszczało Polskę. Do jednych z nich należał Artur Józefowicz, były wieloletni dyrektor sieci sklepów „Społem” w Łodzi, a później dyrektor domów towarowych „Central” na całą Polskę. Jak wielu innych, został zwolniony ze stanowiska i wyjechał wraz z żoną do Danii. Nasi rodzice utrzymywali z państwem Józefowiczami kontakt listowny, a czasem nawet telefoniczny. Na prośbę rodziców Artur Józefowicz zorganizował oficjalne zaproszenie dla Zosi do Danii, na które pojechała sama w 1973 roku. Mimo że to był już trzeci rok moich bezowocnych starań o wyjazd, siostra Zosia dostała paszport bez problemu, bo zostawiała na zastaw, jak to się potocznie mówiło, dwoje dzieci w Polsce. Ten kilkutygodniowy pobyt pozwolił jej zorientować się w sytuacji i dlatego w niecały rok później pojechała ponownie do Danii.

Ten drugi jej wyjazd został już starannie zaplanowany przez całą rodzinę. Sławek miał wtedy 8 lat, a Gosia niecałe 7. Zosia wyjechała oficjalnie ze Sławkiem na kilka tygodni, zostawiwszy w tym czasie w Polsce Gosię. Były mąż, Andrzej, wyraził pisemną zgodę na wyjazd syna wiedząc, że Zosia musi wrócić ze Sławkiem do Gosi. W międzyczasie moi rodzice załatwili dla siebie wyjazd na wakacje do Rumunii, kraju komunistycznego, którego granica pań-

stwowa była pilnowana nie mniej niż w Polsce. Gdy więc mama zaproponowała Andrzejowi, że wzięliby ze sobą Gosię, ten nie podejrzewając niczego, zgodził się oficjalnie na wyjazd jej z dziadkami do Rumunii.

W tym czasie Zosia zaczęła ubiegać się w Danii o pobyt stały i natychmiast zmieniła nazwisko. Dostała też tymczasowy paszport duński na rodowe nazwisko ojca Henryka. Nowy dokument, do którego został też wpisany nieletni Sławek, wystawiony był na Sophie Halpern.

W 1974 roku, w letnim okresie wakacyjnym, do kurortowej miejscowości Eforie Nord przyjechała wraz grupą duńskich wczasowiczów Sophia Halpern, oficjalnie z dzieckiem, ale w rzeczywistości zostawiając w Danii Sławka pod opieką znajomych. W tejże samej miejscowości, ale w innym hotelu byli już z polską wycieczką rodzice Wieliczańscy wraz z wnuczką, Gosią Nakielską. Ośmioletnia Gosia została wtajemniczona w cały plan dopiero po przyjeździe do Rumunii. Przez najbliższy tydzień była ona dziewczynką na wakacjach z dziadkami z Polski i jednocześnie chłopcem z matką na duńskiej wycieczce. Nocowała raz z dziadkami, raz z mamą. Bywała też na posiłkach w obu grupach. Często jadła część obiadu z Zosią, a kończyła deser z dziadkami. Zarówno dla wczasowiczów z Danii, jak i tych z Polski było to normalne, że dziecko czasem źle się czuło i nie przyszło na śniadanie lub zjadło część obiadu. Jak na razie wszystko odbywało się zgodnie z planem.

Powoli zbliżał się dzień wyjazdu Zosi do Danii. Zauważyła ona, że gdy ktoś wjechał do Rumunii z nieletnim dzieckiem, to miał wpisaną przez lokalne służby graniczne uwagę: „plus 1 dziecko”. Zosia nie знаła rumuńskiego, ale jakoś skopiowała tę uwagę w swoim paszporcie i przypuszczała, że nie powinno być przy wyjeździe problemu. Plan powinien się udać, gdyż służby graniczne w Rumunii, podobnie jak i w innych państwach komunistycznych, nie znały wówczas żadnych obcych języków, a obywatele „dewizowi”

z państw zachodnich byli traktowani lepiej niż ci zza żelaznej kurtyny. Zosia miała dokument z wpisanym dzieckiem i uwagą rumuńską – coś więc mogło się stać?

A jednak stało się!

Gosia była tak zdenerwowana że, już stojąc w kolejce do odprawy paszportowej, nagle musiała skorzystać z toalety. Nie pomogły uspokojenia ze strony mamy i prośby o poczekanie dodatkowych pięciu minut.

– Ja muszę iść teraz i już – powiedziała zdecydowana Gosia, nie rozumiejąc oczywiście konsekwencji tego kroku.

Zrobiło się trochę zamieszania. Gosia zaczęła tupać nóżkami i wtedy jeden z Duńczyków czekających w kolejce zaoferował się odprowadzić „chłopczyka” do męskiej toalety. Cała rozmowa odbywała się w łamanym angielskim, którego Gosia nie знаła. Zrozumiała jedynie, że ma iść do męskiej toalety i zaparła się, że tam nie pójdzie. Jednak szybka decyzja Zosi, która także dała do zrozumienia Duńczykowi, że sprawa jest bardziej poważna niż pójście do ubikacji, spowodowała, że Gosia poszła w końcu do męskiej ubikacji, przed którą czekał na nią tenże Duńczyk.

Kilka minut później przeszli przez odprawę paszportową: Zosia, cała spocona z wrażeń, i Gosia już „wysiusiana”, ale wciąż nie rozumiejąca, dlaczego mama tak się zdenerwowała.

Po paru godzinach byli w Danii. Doszło do emocjonalnego spotkania rodzeństwa. Zosia była już na wolności wraz z dwojgiem swoich dzieci.

Natychmiast po powrocie z Rumunii moja mama została wezwana na przesłuchanie do Biura Paszportowego. Jak wynika z ujawnionego trzydzieści lat później raportu podpisanego przez przesłuchującego ją wówczas niejakiego kapitana Jerzego Jakubowicza, Teodozja Wieliczańska „operowała argumentami prawnymi, uzasadniając fakt przekazania Alicji (bo tak miała oficjalnie na imię Gosia) Nakielskiej jej matce obowiązkami moralnymi”. Tuż

przed tą rozmową Wydział Paszportowy otrzymał przesłane poleconym ekspresem z Danii oświadczenie Zosi potwierdzające odebranie Gosi od dziadków.

Oczywiście żadne uzasadnienia „prawne” nie istniały wówczas i dlatego kpt. Jakubowicz proponuje w notatce służbowej wszczęcie śledztwa kryminalnego oraz odebranie pozostałej w Polsce rodzinie Wieliczańskich wkładek paszportowych.

Następne wezwanie do tego wydziału, tym razem dla nas trojga, dostaliśmy w ciągu tygodnia. Zażądano od nas wszystkich oddania wkładek paszportowych, które umożliwiały wyjazd do krajów komunistycznych. Doszło oczywiście do ostrej konfrontacji z przesłuchującym nas oficerem bezpieczeństwa. Z przesłuchania został sporządzony raport, w którym tenże sam kapitan Jakubowicz obwinia rodzinę o prowokacyjne zachowanie się. Wkładki paszportowe oczywiście nam zabrano i oznajmiono, że otrzymamy je „po dokonanych ustaleniach dotyczących wywiezienia z PRL wnuczki Wieliczańskich”.

Wtedy tego jeszcze nie wiedzieliśmy, ale Służby Bezpieczeństwa wezwały wówczas także ojca Gosi i Sławka, który pisemnie złożył oświadczenie, że nigdy nie zgadzał się na wyjazd na stałe swoich dzieci do krajów kapitalistycznych. Andrzej Nakielski nigdy tego nam nie powiedział, ale z ujawnionych dokumentów wynika, że te oświadczenia oraz pisma wewnętrzne władz miały na celu przygotowanie oskarżenia rodziców o porwanie wnuczki. Andrzej był trochę między młotem i kowadłem. Z jednej strony kochał swoje dzieci i chciał dla nich jak najlepiej, ale ani finansowo, ani czasowo nie mógł im pomóc. W tym okresie był już zresztą ponownie ożeniony. Przypuszczam także, że nie mając mocnej osobowości i bojąc się władz, zgodził się podpisać inkryminujące oświadczenie.

Z kopii dokumentu datowanego na początek sierpnia 1974 roku i mającego nagłówek „TAJNE”, podpisujący się nieczytelnie

oficer bezpieczeństwa zwraca się do Naczelnika Wydziału Śledczego Komendy Miejskiej Milicji Obywatelskiej w Łodzi w celu „wszczęcia postępowania przygotowawczego w stosunku do Henryka i Teodozji Wieliczańskich, którzy umożliwili wyjazd do Danii Alicji Nakielskiej bez zgody władz polskich”.

Wtedy gdy moja siostra, wraz z dziećmi, zaczęła nowe życie na wolności, ja wciąż pozostawałem za żelazną kurtyną.

REJMONTÓW

Moja najbliższa rodzina, podobnie jak większość Łódzian, nie miała zapuszczonych wielowiekowych korzeni w tym mieście. W okresie międzywojennym niewielu mogło się poszczycić więcej niż trzema generacjami łódzkich potomków. Ale właśnie wtedy wszyscy Łódzianie ciężko pracowali chcąc urządzić sobie i rodzinę. Do jednych z nich należał wuj mojej matki, który na początku XX wieku pracował w przemyśle tekstylnym w carskiej Rosji, a później, w okresie międzywojennym, był dyrektorem jednej z wielu łódzkich fabryk włókienniczych. Mieszkał w śródmieściu, ale marzył o emeryturze na łonie natury, gdzieś pod miastem. To były czasy, gdy nikt nie wyobrażał sobie spędzenia „złotych lat” w Hiszpanii lub Arizonie, a ci, którzy się dorabiali finansowo chcieli naśladować byłą arystokrację żyjącą w podmiejskich dworach lub dalekich majątkach ziemskich. Dlatego też ten dobrze prosperujący wuj Kościelniak kupił sobie w końcu lat dwudziestych mały dworek na przedmieściu Łodzi. Osada nazywała się wówczas Kały, ale dzięki interwencji wuja Władysława zmieniła nazwę, niestety nie na zawsze, na Rejmontów. Posiadłość wuja liczyła 7 hektarów ziemi, z czego połowa była w zadrzewionym parku gdzie był sad, nieduży staw no i oczywiście piętrowy, 17-pokojowy dworek. Kilkadziesiąt metrów od dworku były zabudowania gospodarcze, w których mieszkał zarządca majątku. W Rejmontowie spędzał wuj Kościelniak wraz żoną i dzieckiem „weekendy” i czasem wa-

kacje. Ze śródmieścia Łodzi było do posiadłości około 30 kilometrów. Droga do posiadłości zabierała mu wówczas nie więcej niż półtorej godziny jazdy doróżką.

Jak wielu innym Polakom, wojna pokrzyżowała także Władysławowi Kościelniakowi jego plany emerytalne. Jego syn Januszek zmarł jeszcze jako dziecko, a zaraz po wojnie wuj został zaaresztowany przez UB, gdyż jedna z prządek go oskarżyła, że „jako dyrektor źle się odnosił do pracowników”. Po wyjściu z „hotelu Moczara”, gdzie był więziony przez trzy miesiące, wuj Kościelniak stał się wrakiem ludzkim. Ten pełen energii przedwojenny przedsiębiorca zatrudnił się na podrzędnym stanowisku w przemyśle tekstylnym. On sam do Rejmontowa prawie już nie jeździł, nie chcąc widzieć zniszczeń i rozkradzionego majątku. Do dworku wprowadziło się „na dziko” dziewięć rodzin. Oprócz bólu głowy, Kościelniakowie mieli jedynie z posiadłości trochę żywości, którą oczywiście musieli dzielić się z mieszkającym tam dozorcą.

W połowie lat pięćdziesiątych wuj Kościelniak osiągnął wiek emerytalny i dokładnie w dniu 65. urodzin dostał zawału serca, w wyniku którego zmarł. W tym okresie nikt nie posiadał nic wartościowego, więc sporządzanie testamentu uważano za rzecz zbędną. Inne rodziny w podobnej sytuacji miałyby jakąś biżuterię, obrazy lub zastawy srebrne. W rodzinie Kościelniaków to wszystko zostało „zarekwirowane” w czasie rewizji przed jego aresztowaniem i jedynym majątkiem do podziału był Rejmontów. Tak do podziału, gdyż według ówczesnego prawa żonie należała się połowa spadku, a do drugiej połowy miało prawo rodzeństwo.

Moja Matka, będąc najbardziej energiczną, w całej rodzinie Kościelniaków, zorganizowała spłacenie rodzeństwa wuja, a ciotce przyrzekła dożywotnią emeryturę za jej połowę. No i wydawało się, że wszyscy byli zadowoleni. Mama Teodozja została więc z dna na dzień „diedziczką”. Zajął się administracją dworku i jego lokatorami oraz uprawą ziemi i hodowlą inwentarza. Zabrało

mamie chyba z dziesięć lat, żeby po woli wyeksmitować wszystkich lokatorów i zagospodarować zapuszczoną ziemię. Po koniec lat sześćdziesiątych mieliśmy w Rejmontowie dwa hektary czarnej porzeczeki, która po zbiorach była sprzedawana na eksport, i co najmniej hektar sadu, nie licząc łąk i kilku hektarów ziemi ornej. Był też tam inwentarz żywy: ze dwie lub trzy krowy i kilkanaście baranów. Oczywiście mama miała do tego na co dzień pracowników, ale nie zapominajmy, że cały czas pracowała na pełnym etacie prowadząc dwa ambulatoria medyczne.

Za moich dziecięcych czasów jeździło się do Rejmontowa tramwajem. Najpierw tym miejskim, a od Teofilowa podmiejskim, od którego dochodziło się piechotą 15 minut. Wyprawa ta trwała prawie 2 godziny, a więc trochę dłużej niż przejazd dorożką przed wojną. Jako dziecko spędzałem tam często wakacje, później pomagałem przy żniwach, a gdy urodził się mój syn Michał, właśnie w Rejmontowie spędziła Basia z nim pierwsze jego lato.

Gdy miałem już 16 lat i dostałem prawo jazdy, podróż „na wieś” trwała samochodem niecałe pół godziny. Ponadto w latach siedemdziesiątych zaczął dochodzić do samej prawie posesji autobus miejski, z którego często korzystała Marynia, gdy sama jeździła do Rejmontowa.

Na początku lat sześćdziesiątych wprowadzono nowe prawa dziedziczenia ziemi w Polsce. Według tego prawa majątku w Łodzi nie mogliśmy odziedziczyć po mamie, gdyż ani Zosia, ani ja nie utrzymywaliśmy się z pracy na roli. Była też możliwość, że skoro ani nasza mama, ani nikt inny w rodzinie nie ma ani pochodzenia rolniczego, ani kwalifikacji do uprawy ziemi, Rejmontów zostanie nam po prostu ... odebrany. Jedynym rozwiązaniem było zdobyć jakiś dyplom rolniczy. Dlatego też będąc już na początku studiów inżynierskich zapisałem się, wraz z mamą, na wieczorowe kursy ogrodnicze.

Większość kursantów prowadziła gospodarstwa rolne lub ogrodnicze, ale nie umiała zdawać egzaminów. Do tych należała

także mama Teodozja. Nic dziwnego, że ja, który bardzo mało wiedziałem o rolnictwie, zdałem egzamin za pierwszym podejściem, a mama musiała go powtarzać. Był to rok 1968, kiedy dostałem pierwszy zawodowy dyplom w życiu: „wykwalifikowanego ogrodnika”. Zaraz po tym część Rejmontowa została przepisana na mnie, ale ... to oczywiście niczego nie zmieniło w późniejszym życiu.

Do Rejmontowa jeździła cała nasza rodzina, aby uciec w lecie z dusznego miasta i przebywać na łonie natury, a później, aby pozbyć się stresu, jaki narzucała nam „przepychanka” z władzami.

Niestety, straciliśmy Rejmontów całkowicie. W momencie starań o wyjazd zostałem zmuszony, wielokrotnie, do napisania zrzeczenia się nieruchomości w przypadku wyjazdu z Polski. Dlatego też przepisałem moją część na teściową w momencie opuszczania kraju. Jednak mama Aleksandra, bojąc się jakichkolwiek konfrontacji z władzami, sprzedała natychmiast moją działkę za bezcen. Za 3,3 hektara ziemi w mieście dostała ona w 1976 roku 100 tys. złotych, czyli mniej niż tysiąc dolarów.

Z działką mamy Teodozji też nie wyszło najlepiej. Po wyjeździe moich rodziców do Kopenhagi zaprzyjaźnili się oni z miejscowym pastorem, który im bardzo pomógł w zasymilowaniu się w nowym kraju. Dlatego też mama postanowiła podarować dworek i ziemię kościołowi protestanckiemu w Łodzi, z przeznaczeniem darowizny na przyszły dom starców. W efekcie rodzice otrzymali od łódzkiego pastora piękny list z podziękowaniem i planami rozwoju Rejmontowa, ale kościół nie potrafił sprostać zadaniu wybudowania nowego ośrodka. Wola rodziców nie została spełniona, a nieruchomość została sprzedana kilka lat po darowiznie osobie trzeciej.

ŚWIATŁO W TUNELU

Po złożeniu, razem z Basią, kwestionariuszy paszportowych, otrzymaliśmy oczywiście odmowę. Mimo naszych odwołań, pism przesłanych do Biura Skarg Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oraz Komitetu Centralnego Partii, nic się w zasadzie nie zmieniło.

Zarówno my, jak i rodzice próbowaliśmy różnych dróg. Kierownikiem Wydziału Administracyjnego Komitetu Łódzkiego w Łodzi był w tym czasie niejaki Jacek Surmacki. Jego wydział nadzorował działania Służb Bezpieczeństwa. Nie wiedzieliśmy o tym, bo wszystko, co było wówczas związane z milicją, partią i wojskiem, było ściśle tajne i nieznane przeciętnemu śmiertelnikowi. Surmacki był pacjentem ojca i nigdy nie wspominał o tym powiązaniu. Kiedyś dowiedzieliśmy się jednak o tych układach i w końcu 73 roku oboje moi rodzice w Basi, moim i swoim imieniu napisali do niego oficjalne pismo z prośbą o interwencję w sprawie naszego wyjazdu. Jak wszyscy wówczas bali się nawet własnego cienia, wskazuje fakt, że po otrzymaniu tego dokumentu Surmacki natychmiast przestał się leczyć u ojca. Napisał małą, nic nie znaczącą odpowiedź zaadresowaną jedynie do mamy, całkowicie pomijając tatę, aby nikt mu nie mógł zarzucić jakichś personalnych powiązań z dr. Wieliczańskim. Z drugiej strony, nie chcąc narażać swojego zdrowia brakiem leczenia, zwrócił się o jego kontynuację do asystenta ojca, Aleksandra Lao, który był „ich” człowiekiem. Oprócz tego, że był lekarzem, Lao także zajmował wysokie administracyjne stanowisko dyrektora Zakładu Opieki

Spółecznej. Olek, jak go wszyscy nazywaliśmy, był synem więźnia obozu koncentracyjnego. Ponieważ nasz ojciec spędził tam z seniorem Lao kilka miesięcy w czasie wojny, więc miał dużą słabość do jego syna. Kiedy więc Olek Lao zwrócił się z prośbą o wskazówki leczenia, a także o próbki eksperymentalnych zachodnich leków, niedostępnych wówczas w Polsce, tato dał mu je, mimo że były one dla Surmackiego.

Pracując w tym czasie w „Chemiteksie”, miałem dostęp do automatycznych telefonicznych połączeń międzymiastowych. W latach siedemdziesiątych na połączenie z innym miastem czekało się, po zamówieniu rozmowy przez telefonistkę, normalnie 2 do 3 dni. Z „Chemiteksu” telefonowało się bezpośrednio. Dzięki temu czasem dzwoniłem do Biura Skarg Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i różnych ambasad oraz umawiałem się na spotkania w stolicy. Z racji pracy bywałem często w Centrali Handlu Zagranicznego „Metronex”, mieszczącej się w samym centrum Warszawy na rogu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich. Sprawy służbowe załatwiałem szybko, a potem „odwiedzałem” ambasadę holenderską lub duńską, a czasem też słynny budynek Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na Rakowieckiej, gdzie oprócz ministerstwa mieściło się znane wiezienie.

Odwiedzałem budynek MSW kilka razy w ramach skarg, a raz udało mi się zdobyć tam audiencję u wiceministra, niejakiego generała Piętki. Byłem trzy razy u Franciszka Armatysa, będącego w stopniu pułkownika, kierownika Biura Skarg MSW. Skargę na nieprzyznawanie nam prawa opuszczenia Polski napisaliśmy też do Urzędu Rady Ministrów.

Nie zostawałem informowany o wynikach tych moich interwencji, ale w moich aktach jest na przykład pismo Dyrektora Departamentu Ministerstwa Spraw Zagranicznych niejakiego H. Sokolaka. W dokumencie tym skierowanym do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, pisze on w grudniu 73 roku, że „przedstawiciel

Ambasady holenderskiej przedstawił prośbę Ambasady, jak zaznaczył – nieoficjalną, o przychylne rozpatrzenie o wyjazd do Izraela obywatela polskiego ...” W piśmie tym jest podane moje nazwisko, zawód i adres oraz (błędnie) zawód Basi (zrobiono ją lekarką). Bywałem też wiele razy w ambasadzie duńskiej, której sekretarz ubolewał nad naszą sytuacją i też chyba interweniował nieoficjalnie u władz polskich.

Wszystkie to oficjalne i półoficjalne kanały nie dawały pozytywnego wyniku. Spowodowały jedynie rozgłos sprawy naszej rodziny wśród różnych instytucji państwowych. Jak mi później sugerowano, władze nie chciały, aby ten rozgłos rozniósł się poza kraj, tym bardziej że później była już poza żelazną kurtyną moja siostra.

Pewnego dnia zostałem wezwany na rozmowę do Komendy Miejskiej Milicji Obywatelskiej w Łodzi, gdzie mieściły się też Służby Bezpieczeństwa. Po zarejestrowaniu się u dyżurnego milicjanta zjawił się zaraz drugi, który eskortował mnie do jednego z pokoi na 2. piętrze.

„Jak na razie nie jest tak źle” – pomyślałem sobie, wiedząc, że areszty znajdują się dużo niżej, w podziemiach.

Przyjął mnie młody człowiek, ubrany w cywilny garnitur, i przedstawił się:

– Podporucznik Kłębowski jestem, proszę, niech pan siądzie.

Niewiele z tej całej rozmowy pamiętam, zaś do teczki mojej prowadzonej przez SB nie mogłem nigdy zajrzeć, gdyż notatki sporządzone podczas przesłuchań na Sienkiewicza zostały spalone w 1991 roku.

Rozmowa z Kłębowskim, o ile on się tak naprawdę nazywał, miała na celu (ich celu) lepsze poznanie mojej osobowości i podejścia do sprawy w Biurze Paszportowym. Całkowicie odciął się od tego biura i zasugerował, że może jego wydział będzie mi w stanie pomóc. Nie miałem pojęcia, kim on jest, jaki wydział reprezentuje i co ma na myśli. Ponieważ pytania w tym budynku zadają przesłuchujący, ograniczyłem moją obecność do odpowiadania,

a przede wszystkim zrozumienia, kim on jest i czego chce ode mnie.

Gdy jednak zostałem po raz wtóry wezwany lub, o ile można tak to nazwać, zaproszony do tego samego budynku, zorientowałem się, o co im chodziło. Tym razem, gdy wszedłem do większego gabinetu, czekało tam już dwóch dużo starszych funkcjonariuszy. Obaj byli w cywilu i przedstawili się bardzo szybko: jeden niewysoki łysiejący, mający nie więcej niż 50 lat jako major, chyba Jasiński, a drugi wyższy i potężniej zbudowany, mający 10 lat więcej, jako pułkownik K...ski. Usłyszałem tylko pierwszą literę i koniec jego nazwiska, co i tak nie miało znaczenia bo oni wszyscy mogli w rzeczywistości być kimś innym. Znali moją sprawę od podszewki i na pewno byli zapoznani z raportem Kłębowskiego.

Tematem rozmowy, bo nie było to przesłuchanie, były moje starania o wyjazd i obecna praca. Nie pytali mnie o rodziców, ani o Basię, mimo że już wtedy byłem żonaty i oboje staraliśmy się o wyjazd. Siedzieliśmy w trójkę przy małym, okrągłym stole ustawionym w rogu pokoju, z dala od potężnego biurka. Bacznie obserwowali moją reakcję, gdy wyrazili zrozumienie mojej sytuacji i powody, dla których nie chciałem żyć i mieszkać w Polsce. Żaden z nich nie podniósł głosu i nie uderzył w stół, jak to miało miejsce parę lat temu w gabinecie szefa SB w tym samym budynku. Po jakichś 20 minutach psychologicznego macania się nawzajem jeden z nich wypowiedział ze spokojem to zdanie, które będę pamiętał do końca życia:

– Rozumiemy, że chce pan wyjechać z Polski, i my jesteśmy w stanie to załatwić – tutaj jakby przerwał, czekając na moją odpowiedź. Ponieważ nie skomentowałem tej oferty, wówczas wtrącił się drugi oficer:

– Nasz wydział jest w stanie zmienić decyzję Biura Paszportowego. A poza tym moglibyśmy pomóc się urządzić w wybranym przez pana kraju bez względu, czy to będzie Ameryka, czy Europa Zachodnia.

Przez chwilę oczy moje wyszły chyba na wierzch i nie wiedziałem, jak zareagować. Aby dojść do siebie i zyskać na czasie, jakby od niechcenia odpowiedziałem:

– Ale przecież panowie wiedzą, że ja się staram o wyjazd do Izraela – teraz ja ich obserwowałem i czekałem na reakcje.

– Przecież i my i pan wiemy, że tam pan nie pojedzie – powiedział pułkownik i do tego machnął ręką, jakby potwierdzając to stwierdzenie, i kontynuował dalej: – Dlatego mamy tę dzisiejszą rozmowę i następującą propozycję: załatwimy z Biurem Paszportowym pozwolenie wyjazdu i dodatkowo pomożemy panu finansowo urządzić się w wybranym kraju, ale – tutaj jakby zawiesił głos na chwilę – w życiu nie ma nic za darmo i w zamian chcemy, żeby, tam na miejscu, pracował pan dla nas.

Wszystko stało się nagle jasne. Ci dwaj reprezentowali wywiad, a Kłębowski miał za zadanie przygotować ich i mnie do tej rozmowy. Jednej rzeczy nie mogłem jednak pojąć – czy oni mieli pomieszaną w głowie? Jak taki człowiek jak ja, który znienawidził system po 68 roku, a potem był przez kilka lat szykanowany przez władze, mógł dobrowolnie dla tego systemu pracować?

Wiedziałem, że nie mogę gwałtownie reagować, więc pragnąc zyskać te kilka sekund na prawidłową odpowiedź, skierowałem jakby rozmowę na boczny temat:

– Wykształciłem się jako inżynier i pracuję w swoim zawodzie. Praca dla wywiadu związana jest z ogromnym niebezpieczeństwem i za to można wylądować na wiele lat w więzieniu, a ja na to nie jestem przygotowany – gdy to powiedziałem, czułem, że ciśnienie krwi skacze mi do limitu i robię się czerwony na twarzy.

Nie spodziewali się takiej odpowiedzi, ale miałem do czynienia z profesjonalistami. Jak się z nimi zacznie, to nigdy nie będzie można się odczepić. Jak na razie rozmowa była prowadzona na poziomie i bez gwałtownych reakcji. Myślałem szybko, jaka będzie ich odpowiedź i co ja muszę zrobić, aby się od nich odczepić.

– Nie musiałby pan pracować w niebezpiecznych warunkach. Jako inżynier mógłby pan mieć dostęp do niedostępnych nam technologii i przekazywać je nam. Szansa na wpadkę byłaby minimalna, ale nawet w takim przypadku zajęlibyśmy się rodziną, tak długo jak to byłoby potrzebne – tym razem wyjechał z tym major.

Tutaj już nie wytrzymałem. Wiedziałem, że nie mogę dać im do zrozumienia, że zależy mi na rodzinie, bo znalazliby moją słabość, a z drugiej strony musiałem jakoś zareagować.

– A ja pie ... lę rodzinę. Zależy mi na moim życiu i na taką propozycję nie mogę się zgodzić! – powiedziałem podniesionym głosem, obserwując jednocześnie ich kamienne twarze.

Było to jakby zakończenie rozmowy. Oni wstali. Jeden powiedział, żebym przemyślał całą rozmowę jeszcze raz, drugi zadzwonił po milicjanta, aby mnie eskortował do wyjścia i... tak to się skończyło. Oczywiście nie omieszkali mi powiedzieć, że muszę rozmowę traktować poufnie i nikomu o niej nie mówić. Nigdy już więcej nie spotkałem żadnego z nich powtórnie.

Porucznik Kłębowski nie dał jednak za wygraną. Dlatego nazywałem go później swoim „aniołem stróżem”.

Kiedyś zadzwonił do mnie do pracy i zaproponował spotkanie na neutralnym gruncie. Nie mając nic do stracenia, a może coś do zyskania, nie odmówiłem. Spotkaliśmy się parę dni później w kawiarni przy placu Wolności.

W trakcie tej rozmowy Kłębowski starał się pokazać, że jest po mojej stronie i jakby się przede mną „otworzył”. Ja prawie się nie odzywałem. On natomiast mówił dużo o sobie: pochodził z małego miasteczka i skończył prawo. Praca w służbie bezpieczeństwa dała mu możliwość przeniesienia się do Łodzi i służbowe mieszkanie. Podkreślał, że obecne Służby Bezpieczeństwa nie mają nic wspólnego z niesławnym UB, który współpracował po wojnie z NKWD, a potem siłą rozpędu był prowadzony w ten sam sposób przez Moczara.

Kłębowski miał też dość nietypowy pogląd na oficjalne stosunki polsko-radzieckie, od których on i obecne władze bezpieczeństwa się odcinają. Nie wiem, ile z tego, co mi mówił, było prawdą, ale wiele lat później spotkałem w Kanadzie lekarza z Polski, który używał identycznych sformułowań. Widać z tego, że uczono ich wszystkich dokładnie, jak psychologicznie robić „marketing” biznesu.

I właśnie w czasie tej rozmowy, jakby od niechcienia, Kłębowski skomentował:

– Z pańskimi możliwościami można by osiągnąć dużo więcej.
– Nie wiem, co miał wtedy na myśli, ale na pewno było to ponowienie oferty pracy dla nich. Co do tych możliwości to być może uwaga, która znalazła się w aktach mojego ojca zaraz po wyjeździe Alicji Nakielskiej przez Rumunię do Danii, wyjaśnia cokolwiek. Otóż zastępca naczelnika II wydziału KM MO w Łodzi, niejaki major Ledziński, pisze wówczas:

„...można wywnioskować, że kontakty WIELICZAŃSKIEGO (prawdopodobnie juniora) z dyplomatami holenderskimi w ich ambasadzie miały na celu uzyskanie pomocy w emigracji z Polski, a ponadto pomoc w pozostaniu za granicą – wraz z dziećmi – WIELICZAŃSKIEJ-NAKIELSKIEJ.”

Teraz widzę, że ubecy tylko spekulowali, a do tego przeceniali moje możliwości.

W czasi rozmowy w kawiarnii Kłębowski jednak nie zdradził się z niczym. Mimo że nie potwierdził, gdzie i dla kogo pracuje, byłem przekonany, że szefami jego byli Jasiński i ten drugi na K. Jednak jakby podświadomie już czułem, że gdzieś tam, dużo ponad Kłębowskim, zapada decyzja o naszym wyjeździe.

GOOD BYE

Nie wiedziałem wówczas o tym, ale na jesieni 1975 roku naczelnik Biura Paszportów w Łodzi podpułkownik Edmund Okoń przeprowadził rozmowę z pułkownikiem Jasińskim, zastępcą komendanta Miejskiego MO ds. Służby Bezpieczeństwa w Łodzi. Nie wiem i nie miałem możliwości sprawdzenia, czy ten szef SB to ten sam, który przedstawił mi się jako major wiele miesięcy przedtem. Z dokumentów wynika, że Jasiński przejął wówczas stanowisko po Bilskim, u którego byłem w 1971 roku. Po rozmowie z Jasińskim Okoń przesłał do Naczelnika Biura Paszportów w Warszawie tajne podanie o „ponowne przedłożenie ich (akt Wieliczańskich) do decyzji Komisji przy KC PZPR”.

Do podania tego Okoń załącza notatkę służbową opisującą całą rodzinę, wyjazd mojej siostry i jej dzieci do Danii oraz pisze dalej:

„...Nadmieniam, że sprawy w/w były rozpatrywane przez Komisję przy KC. Ostatnio w październiku 1974 r. podjęta została decyzja negatywna.

Ponieważ są oni uporczywymi i uciążliwymi interesantami Wydziału Paszportów w Łodzi (zgłaszali się również na rozmowę do Wydziału II Biura Paszportów), nie dają też naszemu krajowi należytych wartości mimo posiadanego wykształcenia oraz nie czują się Polakami, proponuję udzielić zezwolenia na wyjazd do Izraela na podstawie dokumentów podróży w pierwszej kolejności

Teodozji i Henrykowi Wieliczańskim. Po ich wyjeździe z kraju wrócić do sprawy syna i synowej.

Propozycja ta wynika z faktu, że wydaje się prawdopodobne, że rodzice, którzy w kraju pobierają wysokie renty, złożyli dokumenty o wyjazd tylko dlatego, by ułatwić wyjazd synowi i synowej. Po otrzymaniu decyzji pozytywnej dla całej rodziny, jednocześnie mogą z wyjazdu zrezygnować.”

Cóż – nic dodać, nic ująć! Czyżby systemowi zależało na wysokich emeryturach rodziców, na mnie, czy po prostu wpadłem między młot i kowadło? O ile mi wiadomo, to nikogo nie trzymała Polska wbrew woli tak długo jak mnie. Były znane przypadki przetrzymywania dysydentów w Związku Radzieckim jeszcze dłużej, ale nie w Polsce.

Wiele lat później rozmawiałem w Kopenhadze z Olkiem Nadlem, który sugerował mi, że za mocno popychałem ze wszystkich stron, zamiast po ciuchu trzymać się jednej linii. Po znajomości przez Wróbla, Korzyka czy Surmackiego, finansowo przez Paszkowskiego – i to stało się za głośne. Może na początku starań łapówka coś by załatwiła, ale później wszyscy bali się dotknąć sprawy Wieliczańskiego.

Na uwagę zasługuje także ciekawe zdanie w notatce służbowej kapitana Skupińskiego z końca 1974 roku:

„... Z postępowania Wieliczańskiego Henryka-Jerzego można wyciągnąć wniosek, że w stosunku do naszych organów przyjął taktykę „nękania nas” podaniami, odwołaniami, skargami, wychodząc z założenia, iż wreszcie osiągnie swój cel.”

No cóż – on jeden chyba miał rację, ale dlaczego czekałem aż 6 lat?

W 2009 roku, podczas pobytu w Polsce, otrzymałem kopię teczek moich dokumentów z Instytutu Pamięci Narodowej i po raz pierwszy poznałem nazwiska wielu przesłuchujących mnie i opiniujących wówczas sprawę oficerów. Jednym z nich był kapitan Jerzy Jakubowicz. Kiedy wówczas udało mi się znaleźć jego telefon, zaraz po przyjeździe do Kanady wykręciłem jego łódzki numer telefonu.

Odebrała kobieta.

– Nazywam się Henry Wilman, nie wiem, czy dzwonię pod dobry numer, ale chciałem rozmawiać z byłym pracownikiem Biura Paszportów – czy to może pani mąż?

– Tak, mój mąż pracował tam 30 lat temu, ale teraz jest w szpitalu, bo ma poważne niedomagania sercowe – odpowiedziała pani, chyba Jakubowiczowa.

Powiedziałem, że w latach siedemdziesiątych miałem duże kłopoty wyjazdowe. Teraz mieszkam od wielu lat za granicą i chciałbym porozmawiać o mojej historii sprzed 35 lat z jej mężem. Odpowiedziała mi, że spodziewa się męża w domu za parę dni i mogę wtedy zadzwonić ponownie.

Gdy zadzwoniłem po tygodniu po raz drugi, znowu odebrała pani Jakubowiczowa.

– Dzień dobry, mówi Henry Wilman. Rozmawiałem z panią w zeszłym tygodniu. Czy mąż już jest w domu i czy mógłbym z nim teraz porozmawiać?

– Mąż już jest w domu, ale jest w ciężkim stanie i nie może z panem rozmawiać. Ale mówiłam mu o pańskim telefonie i nie przypominam sobie w ogóle pańskiej sprawy – dosyć przyjemnie, ale stanowczo odpowiedziała mi jego żona.

– Być może dlatego, że ja nie podałem pani mojego dawnego nazwiska. Wtedy nazywałem się Wieliczański.

– Czy pan doktor Wieliczański?

Oczywiście sprostowałem, że jestem synem doktora, a pani Jakubowiczowa, która musiała już mieć na pewno ponad 70 lat, albo знаła ojca, albo nawet kiedyś się u niego leczyła. Nie mogłem uwierzyć, jaki ten świat jest mały. Była od razu bardziej serdeczna, a ja powiedziałem, że mam tylko dwa pytania:

– Jedno: dlaczego nie wypuszczano mnie z Polski tak długo, a drugie ... – tutaj ona mi jakby przerwała.

– Dlaczego pana wypuścili?

– Tak – odpowiedziałem i obiecałem zadzwonić za parę dni.

Gdy zadzwoniłem ostatni raz, znowu nie miałem okazji rozmawiać z byłym kapitanem Biura Paszportowego, ale dowiedziałem się od jego żony, że decyzje w mojej sprawie podejmował kto inny. Nie omieszkała mi powiedzieć, że jej mąż był także ofiarą systemu, gdyż w kilka lat po moim wyjeździe wylądował w ... więzieniu za branie łapówek!

Szkoda tylko, że nie wziął wcześniej nic ode mnie! Niestety nie znałem go, ani nie miałem do niego dojścia. Ale takich jak ten kapitan było na pewno wielu.

Decyzja o wypuszczeniu całej rodziny Wieliczańskich zapadła w listopadzie 1975 roku, ale zawiadomiono nas o tym w końcu stycznia 76 r.

W międzyczasie dostałem jednak wezwanie od porucznika, być może już wtedy kapitana, Kłębowskiego, abym stawiał się w Wojewódzkiej Komendzie Milicji przy Lutomierskiej, gdzie on wtedy urzędował. Tam właśnie, zaraz po przywitaniu się poprosił, tak jak dawniej, aby tę rozmowę, podobnie jak i poprzednie, traktować poufnie. Na potwierdzenie chciał, abym mu podpisał czystą kartkę papieru, którą on wypełni później. Gdy odmówiłem, powiedział:

– To niech pan napisze własnymi słowami, że nasze rozmowy będą okryte tajemnicą.

Takie stwierdzenie było już bardziej do przełknięcia. Napisałem jedno zdanie, że zobowiązuję się nie powtarzać treści moich rozmów z nim i ... na tym się skończyło. Przrzeczenia dotrzymałem, bo przez 35 lat o tym nikomu nie wspominałem, a teraz to już nie ma znaczenia.

Pod koniec stycznia dostaliśmy wszyscy zawiadomienie o uzyskaniu zezwolenia na wyjazd, po które należało się zgłosić w ciągu miesiąca i przedstawić następujące dokumenty:

- dowód osobisty
- zaświadczenie o rozwiązaniu stosunku pracy
- zaświadczenie z wydziału finansowego o nieposiadaniu zobowiązań pieniężnych
- zaświadczenie z wydziału lokalowego
- promesę wizy
- książeczkę wojskową
- dowód uiszczenia opłaty paszportowej w wysokości 5000 zł od osoby.

Natychmiast zwolniłem się z pracy. Sprzedaliśmy z Basią mieszkanie. Zaczęliśmy pakować rzeczy osobiste i nawet meble. Wszystko potoczyło się w błyskawicznym tempie. 18 lutego 1976 roku zgłosiliśmy się z Basią po odbiór dokumentów podróży, które otrzymaliśmy. Odebrano nam obywatelstwo, a wraz z nim wszystkie prawa nam przysługujące. Byliśmy bardzo ostrożni. Zajęliśmy się wysyłką naszych rzeczy, zbieraniem dokumentów i zamianą pozostałych pieniędzy na jedyne, co mogliśmy kupić... biżuterię. Pożegnaliśmy się z rodziną i znajomymi.

Mając jednoroczne dziecko oraz obawiając się jakiś prowokacji ze strony władz, kupiliśmy za dolary przelot SAS-em do Kopenhagi. Koszt przelotu był szalenie wysoki, ale nie chcieliśmy ponosić jakiegokolwiek ryzyka i jechać pociągiem, a nawet lecieć polskim LOT-em.

Na lotnisko do Warszawy pojechaliśmy razem z Marynią. Przyjechaliśmy dużo wcześniej, niż to było wymagane. Jednak gdy tylko zgłosiliśmy się do oficera odprawy granicznej, ten po sprawdzeniu nazwisk wydał coś w rodzaju okrzyku „Oh!” i natychmiast skierował nas na bok. Tam zajęli się nami następni „specjaliści”:

Basia z jednorocznym Michałem została odprowadzona przez umundurowaną kobietę do osobnego pokoju, a mną, w innym pokoju zajął się mężczyzna który zadał jedno pytanie:

- Ile zagranicznej waluty ma pan przy sobie?

– Dwa dolary na mleko dla dziecka w samolocie – odpowiedziałem, wiedząc, że nawet tych dwóch dolarów nie wolno mi było mieć.

Nie skomentował tej odpowiedzi, tylko zabrał się do szczegółowego sprawdzenia, co mam ze sobą.

Przy sobie miałem teczkę z dokumentami, w której była także biżuteria. Kazał mi otworzyć teczkę i niektóre sztuki odłożył na bok. Potem nastąpiła całkowita rewizja osobista włącznie ze sprawdzaniem podszewek i butów w środku. Cała ta operacja trwała ponad pół godziny. On się nie śpieszył, a ja nie pokazałem po sobie jakiegokolwiek zdenerwowania. W końcu, gdy się ubrałem, stwierdził:

– Nie jestem ekspertem od biżuterii i nie wiem, czy to zostało zrobione po 1945 roku, dlatego nie możemy pozwolić na wywóz tej biżuterii z Polski. Jeżeli ma pan kogoś, kto pana odprowadza, może pan to oddać osobie pozostającej w Polsce, w mojej obecności. Resztę proszę zapakować i wziąć ze sobą.

W zasadzie wszystkie wartościowe rzeczy musiałem zostawić. Oddałem tę biżuterię Maryni, która potem przez wiele lat przywoziła ją, sztuka po sztuce, do Kopenhagi, dokąd przyjeżdżała co roku. Jediną wartościową rzeczą, którą mogłem zabrać ze sobą, był pierścionek z pięknym dwukaratowym diamentem o szmaragdowym szlifie. Ponieważ szlif ten był prawie wówczas nieznany, przeprowadzający rewizję wziął ten diament za zwykłe szkło.

Z Basią było podobnie. Miała rewizję osobistą włącznie ze zdejmowaniem pieluch małemu Michałowi i odrywaniem wkładek w jej butach. U nich także nic nie znaleziono.

Nie wiem, czy też to było tylko moje przypuszczenie, ale miałem przeczucie, szczególnie po ostatniej wizycie u Kłębowskiego, że coś się szykuje. Oni wiedzieli, że za bilety lotnicze zapłaciłem te kilkaset dolarów żywą gotówką. Nie było też tajemnicą, że otrzymaliśmy dużą sumę za sprzedane mieszkanie – więc chyba będę wywoził pieniądze, jadąc na stałe?

Przypuszczałem, że o ile złapią nas na nielegalnym wywozie walut, stanę się wówczas obiektem szantażu: „Albo będziesz dla nas pracować, albo idziesz siedzieć!” Ale przeliczyli się.

Jako ostatni weszliśmy do czekającego, tylko na nas, pełnego już samolotu. Stewardesa zaraz zamknęła za nami drzwi i po chwili ruszyliśmy. Gdy byliśmy już w powietrzu, w samolocie Skandynawskich Linii Lotniczych, mieliśmy oboje z Basią łzy w oczach.

EPILOG

Mój pobyt w Danii nie trwał zbyt długo. Przez pierwsze kilka tygodni byliśmy, a szczególnie ja, sprawdzani przez policję. Po 3 miesiącach oczekiwania dostaliśmy prawa pobytu i pracy. Ten mały, piękny, kraj zaopiekował się nami wspianale. Na początku ulokowano nas w małym hoteliku, niedaleko przystani, z której odchodziły promy do Szwecji, później przenieśliśmy się do domku szeregowego na przedmieściu Kopenhagi. Dostaliśmy małą pomoc finansową, uczyliśmy się języka, a po kilku miesiącach pobytu miejscowe stowarzyszenie inżynierów uznało nasze dyplomy ukończenia studiów. Mimo że język duński jest dość trudny, to po pół roku radziłem sobie z nim nieźle, czytając już miejscowe gazety. Gorzej było z językiem mówionym: tak naprawdę nigdy go nie opanowałem.

W Kopenhadze poznaliśmy kilka rodzin będących w sytuacji podobnej do naszej. Większość z nich decydowała się na dalszą emigrację. Ja, mając na miejscu siostrę Zosię i jej rodzinę, a później już także rodziców, miałem trudniejszą decyzję do podjęcia. Basia także nie była za tym, aby wyjeżdżać z Europy. Oprócz jej rodziców i siostry, będących w Polsce, druga siostra Basi mieszkała już wtedy w Holandii. Możliwości zawodowe przewyciężyły jednak powiązania rodzinne. Postanowiliśmy wyjechać z Europy do większego, wielonarodowościowego i angielskojęzycznego kraju. Nie mając nigdzie poza Europą rodziny, mogliśmy dowolnie

wybierać z mapy. Rozważaliśmy Południową Afrykę, Kanadę i Australię. Po otrzymaniu duńskich dokumentów rozpoczęliśmy wstępne rozmowy w ambasadach tych krajów.

Południowa Afryka mogła zapewnić nam doskonały start życiowy. Jednakże, gdy w czerwcu 1976 roku wybuchły tam słynne zamieszki w Soweto, natychmiast zrezygnowaliśmy z tego kierunku. Australia była bardzo daleko, dlatego najlepszym krajem wydawała się być Kanada. Warunki imigracyjne do tego kraju były i są dosyć szczególne. Dostaje się odpowiednią liczbę punktów między innymi za wiek, wykształcenie, ofertę pracy i znajomość języka. Pozytywnie wpływa na otrzymanie wizy sponsorowanie przez kanadyjską rodzinę lub instytucję oraz przywożony majątek. Na te ostatnie jednak nie mogliśmy, niestety, liczyć. Dostaliśmy jednak wizę emigracyjną do Kanady pod warunkiem, że najpierw pojedę tam ja, a po wstępnym ustabilizowaniu się, to znaczy otrzymaniu przeze mnie pracy i mieszkania, poleci do Kanady Basia z synem.

W styczniu 1977 roku wylądowałem w Edmontonie, stolicy zachodniej prowincji Alberta. Zaczynałem tutaj jak każdy inny imigrant. Najpierw pracowałem u złotnika, później przez kilka tygodni na tutejszym Uniwersytecie, a następnie przez pół roku, już jako inżynier, dla niemieckiej firmy Krupp, mającej swoją filię w Edmontonie. Basia dojechała po 3 miesiącach mojego pobytu. Na jesieni tegoż roku dostałem już stałą pracę, w swoim zawodzie, w filii znanego koncernu amerykańskiego Borg-Warner, produkującego sprzęt do wydobywania ropy naftowej, gdzie spędziłem ponad 5 lat. Później pracowałem już tylko w swoich firmach, w wielu innych branżach: produkcji żywności, odzysku metali szlachetnych, budowie nieruchomości i ich administracji, ubezpieczeniach, finansach oraz eksporcie i imporcie.

W Kanadzie urodził się nam drugi syn, Arthur. Na początku Basia zajmowała się domem, a gdy dzieci osiągnęły wiek szkolny,

zaczęła pracować w wydziale komputerowym na tutejszym uniwersytecie. Zawsze byliśmy w kontakcie z naszą rodziną w Europie. Mimo że musieliśmy zaczynać życie za oceanem praktycznie od zera, osiągnęliśmy w Kanadzie to, do czego nie moglibyśmy nigdy dojść w ówczesnej Polsce. Jesteśmy wolni, niezależni i w swoim kraju.